



REKA.

Z OPOWIADAŃ RABINA.

Raz, jadąc furmanką z historycznej Koziej-wólki do Pacanowa, także wielce znakomitego miasta w dziejach naszych i ludzkości, miałem za towarzyszy gromadę żydów. Jeden wyróżniał się bardzo znacząco pośród całego towarzystwa zachowaniem się swoim, postawą, jakoteż pewną powagą i godnością. Był to starzec o długiej moźeszowej brodzie; nieco przyszyżone wąsy odkrywały usta ściągnięte, równe, o zarysie energicznym, a na całej twarzy rozlewał się wyraz zamyślenia, spokoju i skupienia się w sobie, jaki bardzo często widzieć można u ludzi, zajętych pracą umysłową.

Czarna aksamitna jarmurka, pokrywająca wierzchołek głowy, pozwalała widzieć zarys pięknego, kształtnego, proporcjonalnego czoła, z którego patrzyły doświadczenie i powaga.

W czasie odprawiania modlitw rannych, spostrzegłem, że żyd ów modlił się głośniejsz od innych, głos jego drżał większą energią smutku i rozpacz, a modlitwa dłużej trwała. Inni z pewnem uszanowaniem otaczali go. Każdy po kolei coś mu długo i namiętnie — jak żydzi umieją — opowiadał, a starzec ów słuchał z wielką uwagą, skupieniem i spokojem; odpowiadał zaś rzadko a krótko.

Nie dopytywałem się wcale co to za jeden, bo nie chciałem być natrętnym.

Ciekawość moja zaspokojoną została wkrótce w inny sposób.

Było to w lecie. Wprawdzie spieszo mi było ujrzeć co rychlej tak znakomite miasto jak Pacanów, ale furman stanowczo oświadczył, że popasać musi.

— Nu! pan płaci pół rubla i nie troszczy się o to, że moje konie zdechną, za które ja zapłaciłem sześćdziesiąt rubli! Czy to sprawiedliwość? Końskie nogi, to mój *chleb*, to moja *chałka*¹⁾ na szabas, to moja *rybke*...

W lesie więc, przy karczmie gdzie była woda studzienna i cieniu dosyć, zatrzymał się. Zdjął uzdeczki z koni, postronki odpiął na dyszlu powiesił *opalki* z obrokiem — i nie było rady... musieliśmy wysiąść.

¹⁾ Pewien rodzaj bułki.

Wkrótce konie pospuszczały głowy do torby, żuły powoli i prychały zawzięcie, wydmuchując pył z obroku, a gromadka żydów, z owym starcem pośrodku, zasiadła pod dębem do spożycia śniadania. Chodziłem markotny, bom sam jeden reprezentował gojów, a żydzi tak byli sobą zajęci i śniadaniem, że się zbliżyć do nich nie śmiałem. Usiadłem na ławeczce przed karczmą i obserwowałem kupkę siedzącą pod dębem.

W czasie śniadania rozmowa ustała prawie zupełnie. Uważałem, że posiłek ich był niezmiernie skromny, umiarkowany i nie wybredny. Jeden wyjął z papierka udo kurze i jadł je z chlebem powoli, nie spiesząc się; zjadłszy mięso, kość starannie osmoktał, końce palców oblizał; znowu do kości wrócił, gryzł ją ostrożnie, znowu smoktał, przełamał, szpik z obu połówek wyssał i rzucił nareszcie. Inny z taką samą pedanterią małutkimi kawałeczkami spożywał jajko, ugotowane na twardo; przełamał skorupkę na kilka części, białko do niej przystając palcem od strony paznogcia oddzielił, językiem wylizał — jednym słowem robił to z pedanterią i powagą tak wielką, jakby dokonywał największej i najpilniejszej roboty. Każdą cząstkę jedzenia każdy z nich brał do rąk powolnie, uważnie, przyglądał się, jakby skarbowi jakiemu — i spożywał wreszcie.

Dla obojętnego widza było coś w tem ich jedzeniu komicznego i wysoce poważnego. Cały komizm na pierwszy rzut oka na tem polegał, że zbyt wielka powaga stosowana była do rzeczy pozornie zbyt małej. Wprawdzie smakosze lubią delektować się jedzeniem, ale żydzi nigdy nie spożywają swego ubogiego jedzenia jako smakosze. Skądże ta powaga i owe nadymanie się przy jedzeniu, tem większe im potrawa wybredniejsza.

Krótkie śniadanie podróżnych zostało już spożyte, ale konie nie zjadły jeszcze obroku i nie piły wody — trzeba więc było czekać.

Po śniadaniu znowu się rozpoczęła bardzo żywa ogólna rozmowa w żargonie. Zbliżyłem się do nich i słuchałem. Jeden z podróżnych opowiadał szczegóły stosunku swego z dziedzicem, który go zarwał na pewną sumkę. Rozumiałem treść rozmowy, ale udałem, że nie rozumiem, nie chcąc ich krępować. Ten właśnie, który skargi swoje opowiadał, zwrócił się do mnie:

— Pan myśli sobie, że żydzi się kłóca? Prawda?

— Wcale nie.

Odpowiedź moja zdziwiła go. Pragnąc widocznie zainteresować mnie także swoim opowiadaniem, rzekł:

— Jak boli, to człowiek krzyczy... — zaczął.

— Niezawsze... — przerwałem mu — czasem milczy.

Uwaga moja zreflektowała go nieco. Spojrzał mi uważnie w oczy.

— Co prawda, to prawda, ale choćby nie krzyczał, to go przecie boli...

Wiedziałem do czego wstęp ten zdąża.

— Proszę pana, za pozwoleniem, ja nie obrażam jego godności. Gadam im, że mówią teraz na nasze żydy, że co żyd to łotr, szelma, gałgan... Nu, teraz taka moda. Moda bywa rozumna i głupia. Czy to każdy nie widzi tego co dnia na wiosnę i na jesień? Jak nastanie moda taka, że tylko patrzeć na nią i śmiać się, to zawsze najgłupsze ludzie według niej się ustroją. Jednym chodzi o wygodę, drugim o to, ażeby się ludzie na nich patrzyli. Ja mój chałat dziesięć lat noszę i moda w nim dobra, ale *wun* nie jest ani żółty, ani czerwony; rękawy nie są tak wązkie, że ręką ruszyć nie można, a poły po piętach mnie nie biją... Mode bywa do sukni i do głowy. Głupia głowa głupiej mody się trzyma. Taka moda nastąpiła na łajanie żydów na całym świecie. Może gdzie to i potrzebne, ale głupi nie pyta gdzie? Nie pytają i u nas, ale łają. Niech im to na zdrowie służy... *Woni* robią jak paskudne uliczniki. Widzi pan, człowiek zajęty uczciwą robotą nie ma czasu na błazeństwa, ale ulicznik głupi, próżniak, *wun* się nieraz bawi cudzym spokojem i życiem. Zbierają się w kupy, wymyślają tym co idą spokojnie po drodze, rzucają kamieniami do okien... Im chodzi o to, ażeby wywołać harmider, bo w tym zamęczeniu oni ryby łapią...

— Stała się panu jaka krzywdą? — wtrąciłem.

— O joj! — rzekł z pewnem wzruszeniem.

I opowiadać począł nawiązanie stosunków swoich z bogatym dziedzicem, które dość długo były najlepsze, aż dopóki Jaśnie Wielmożny dziedzic nie pożyczył od niego pewnej sumki, którą Srul uważał za przepadłą.

— Nu? to pany tak robią? — rzekł skończywszy — to zapozwoleniem łapserdaki tylko! Gdzie tu sprawiedliwość? Jaka tu sprawiedliwość? Pany teraźniejsze, bez obrazy godności, gorsze łajdaki od żydów, choć na nich ulicznik kamieniem nie rzuca i rzadko kto ma odwagę głośno powiedzieć, że *woni* łajdaki! I jestże to sprawiedliwość na świecie? — wołał znowu Srul, poruszony do głębi.

Starzec ów siwobrody udziału w naszej rozmowie nie brał, chociaż z zachowania się jego widać było, że w umyśle coś ważył. Spokojne jego oczy ożywiły się blaskiem, usta, zda się, mocniej jeszcze zacisnęły się, a nawet powolny ruch ręki, gładzącej brodę, świadczył, że starzec nie był obojętnym słuchaczem naszej rozmowy.

Był to, jak się później dowiedziałem, rabin, powracający — z wycieczki w sąsiedztwo — do domu. Pragnąc widocznie złagodzić gniew opowiadającego, zwrócił się niby do mnie, niby do innych.

— On ma krzywdę to gada od serca... Na człowieka narzekać można, ale na sprawiedliwość nie trzeba; ona przyjdzie... Nie taka co się ubiera w znaki, ale inna... Ona znajdzie i żyda i goja. Znałem ja takiego żyda, który ukarany został... i goj będzie ukarany kiedyś...

— Więc pan wierzysz — zwróciłem się do niego — że jest sprawiedliwość na świecie?

— Wierzę, że jest — odrzekł poważnie i spokojnie, nie przestając brody głaskać.

Rabin zamilkł. Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niemu z pewnem napięciem.

— Sprawiedliwość bywa różna... — zaczął po chwili — niby dwie miary: jedna taka, którą ludzie mierzą, a druga którą Pan Bóg mierzy. Ludzką sprawiedliwość każdy widzi, inaczej ją tylko nazywa: jeden prawdą, drugi krzywdą. Sprawiedliwość boska to taka rzecz, co na nią rzadko kto uwagę zwraca, a jeżeli i widzi, to nazywa niesprawiedliwością, lub nieszczęściem, chorobą, szczęściem, losem... jak kto chce. Panu Bogu to wszystko jedno. Na to ażeby się urodzić złym człowiekiem, albo stać się nim, nie potrzeba być wcale ani żydem, ani gojem, ale człowiekiem. Przed Panem Bogiem wszyscy równi, on nie kocha jednych więcej od dru-

gich, bo inaczej Pan Bóg byłby głupi jak człowiek. Łajdaki są i pany i żydy; do tego przywileju nie potrzeba. Nieraz wszyscy wiedzą co kto wart. Gęby ludziom nigdy zatkać nie można. Jeden z drugim przyjaźni się niby, je u niego i pije, a wychodzi i za drzwiami mówi: szelma. Tam gdzie tylko język miele, można słyszeć różne sady: ci gadają tak, inni owak. Gęba jak młyn; każda inaczej miele. Ale jeżeli na cudzem sumieniu cięży czyja krzywda lub jakiś paskudny interes, o tym jedni cicho, drudzy głośno, ale to samo powiedzą: szelma. Takiego zawsze kara spotka, jak nie od ludzi, to od Boga. A cóż to jest kara?... Sprawiedliwość.

Rabina unosiły widocznie własne jego myśli. Oko mu roziskrzyło się ogniem.

— Ja panu co powiem... — zaczął znowu ze zwykłą sobie powagą i spokojem. — Znałem jednego żyda, który nazywał się Pipele... Nu, Pipele? Co to? To jest nic... Pipele sobie Pipele... To pospolite nazwisko, nie takie ładne jak Goldberg, Goldman, Löwenberg... Gold, panie to złoto, a Löwe, lew, i to i tamto znaczy siłę. Niby *Gold* to ono sobie takie maleńkie, ciężkie, niepokazne, ale ono ma siłę, ono światem rusza... Ten Pipele, to jeszcze piętnaście lat temu, chodził w chałacie, krótszym niż żydowski, niby surdut niby chałat, i był sobie taki żydek, jakich dużo na świecie. Że ubogi, to jeszcze nie wada. Zaczął on interes z takim, który miał pieniądze i po roku rozeszli się, chociaż interes szedł dobrze i Pipele robił pieniądze. Spólnicy kłócili się; poszli do sądu. Pipele wygrał, ale wszyscy ludzie powiedzieli: to szelma i oszust. W kilka lat potem Pipele już dorobił się trochę pieniędzy. Dwie sieroty miały kamienicę. Pipele poznał się z opiekunem, zaprzyjaźnił się; — mieszkał w tym domu. Naraz gruchnęła wieść, że kamienica pójdzie na licytację za długi... i poszła. Dłużnicy zgadzali się czekać na wypłatę długów z komornego, bo kamienica była bardzo ładna; w ten sposób oni uratowali swój kapitał, a sieroty majątek. Na licytacji nikt nie stanął, bo wszyscy wiedzieli, że to grosz sierocy, ale stanął Pipele i kupił. Miał za sobą prawo, ale ludzie znowu w jeden głos powiedzieli: to szelma i oszust! Można taką krzywdę zrobić, co ją wszyscy widzą, i pójść do kryminału, a można taką, za którą do kryminału nie posadzą, ale ludzie powiedzą: szelma i oszust! Im miał więcej pieniędzy, tem częściej panu Pipele trafiały się dobre interesy. Każdy powiększał jego majątek; do czego się dotknął wszystko mu szło jak z płatka, ale po każdym dobrym interesie ludzie zawsze powtarzali to samo: szelma i oszust. Nie było ani jednego człowieka, któryby myślał inaczej. Pipele nic sobie z tego nie robił. Słyszał, że są tacy, którzy mają po sto i więcej milionów majątku. Kupił sobie ich portrety, powiesił przed kantorkiem u siebie i powiedział: »Ja chcę być takim... W porównaniu z nimi ja jestem bardzo ubogi, bo mam tylko jeden milion...« Tymczasem pieniądze się robiły dalej. Pieniądz jeden drugiego zawsze szuka. One lubią się kupy trzymać. Z tego worka gdzie jest mniej, uciekają do tego gdzie więcej. I Pipele bogaciał. Chałat jego stawał się coraz krótszym, aż wreszcie stał się takim krótkim, że za pozwoleniem... ledwie krzyże zakrywał. Pipele ożenił się; za żoną wziął majątek znaczny, otarł się między ludźmi, grał już rolę pana, ale nie mógł się doczekać dzieci. Chciał mieć dzieci, ale Pan Bóg nie dawał... Może umyślnie... Pan Bóg wie co robi. Nieraz kiedy Pipele sam w domu został i przechadzał się pośród swoich skarbów, osiadała mu niby chmura na czole i myślał cichutko: — »Wolałbym mniej trochę... byle dzieci były. Któż to wszystko po mnie zabierze?« — Ale zmartwienia nie przeszkadzały pieniądzom zbierać się do kupy. Wreszcie doczekał się Pipele syna. Aj waj! Jak on się radował! już chyba więcej człowiek cieszyć się nie może! Na szpital dał duże pieniądze, do synagogi kupił srebrny świecznik, który centnar przeszło ważył, ubogim rozdał jałmużnę wielką, a znajomym swoim wyprawił taką ucztę... taką, że ja nie wiem czy może być lepsza! Po wieczery wszyscy mówili: »Pan przyjąłeś nas po hrabiowsku... pan jesteś prawdziwy mecenas.« Oni tak nazywali jakiegoś bogatego pana. Sam to słyszałem. Wychodząc, zatrzymałem się przed bramą. Aż widzę idą ci sami panowie, ale już mówią inaczej: »Cóż ty powiesz na to — odzywa się jeden do drugiego — że szczęście służy takiemu szelmie i oszustowi! Tysiąc biedaków musiał obedrzeć ażeby sobie kamienic nakupić, a teraz atlasem meble obili i srebrne serwisy na stole postawił.« Od czasu urodzenia się syna Pipele, przestał się nazywać Pipele, ale baron von Pipel. Pojechał sobie za granicę i przywiózł baronstwo. Co prawda baronstwo było fałszowane. Wszędzie są tacy ludzie co to za pieniądze wyszukają jakiegoś znakomitego przodka, no, i do niego każdego przylepić można. Mniejsza o to. Synek rósł... Był to ładny chłopczyk. Miał bony, guwernantki; no, czego jemu brakowało! Wszystko miał co bogatych rodziców dziecko mieć może! Rodzice kochali go i strzegli jak oka w głowie, lekarz nie odstępował go ani na krok. Najuboższym rodzicom dziecko przynosi szczęście, a cóż dopiero bogatym, którzy tego szczęścia długo pragnęli i doczekali się nareszcie. Pipele wyraźnie powiedział: »Teraz mam dla kogo żyć i pracować!« — Majątek jego pomnażał się niby czarodziejskim sposobem. Pipele rósł nie tylko w dostatek, ale i... w to... co ludzie nazywają szacunkiem. Wszyscy mu się kłaniali, ściskali mu rękę, całowali. Każdy, zdaje się, że mu rad byłby duszę oddać. Miał wszystkiego dosyć. — Wszystko się koło niego zmieniło, tylko ludzie uczciwi, jak dawniej, i teraz mówili o nim to samo: szelma i oszust! Nieraz, kiedy sam siedział przed swoim kantorkiem, smutek go opanowywał, głowę schylał w obie dłonie, na portrety milionerów nie patrzył i pytał sam siebie: »Za co oni mnie nienawidzą! Dla czego bogactwo moje kole ich w oczy! Co ja im zrobiłem złego?« W pokoju było cicho i tylko zegar odpowiadał mu: »Nic, nic, nic...« — »Na co mi to borykanie się z ludźmi? Po co mi ta zniewaga, której co dnia doświadczam? Mam dosyć! Ucieknę z tego kraju, od tych ludzi ohydnych, przeklnę tę ziemię, na której się urodziłem i zamieszkam daleko ztąd, daleko... To co mam, wystarczy ażeby kupić sobie wygodę, spokój i szczęście... Tam, gdzie umieją uszanować człowieka, wychowam mego syna...« — Bardzo go kochał. — Kiedyś w nocy, nagle dziecko zachorowało... Bóg jeden wie z czego! Położyło się najzdrowsze, najweselsze. Śród snu wydobyło mu się z gardła piskliwe chrapanie, jak gdyby je kto dusił. Pipele posłyszał pierwszy. Jak tylko odgłos ostrego oddechu dziecka doleciał do jego uszu, doznał takiego uczucia, jak gdyby go kto nożem w serce pchnął. Zerwał się na równe nogi i do łóżeczka syna przybiegł. Dziecko spało, ale chrapało przez sen. W sypialnym jego pokoju paliła się lampka nocna i światelko różowe oświecało mu twarz. Czołko i twarz dziecka kurczyły się bólem widocznym. Pipele przestraszony obudził syna. — »Co to tobie, moja dziecińco?« — »Dusi mnie coś...« — »Gdzie? co?« — »Tu... tu...« Rączką pokazywał na gardło. Pipele dom cały obudził. Posłał po lekarza jednego, drugiego. Tymczasem chrapanie syna powtarzało się coraz silniej, gwałtowniej; oddech zdawał się tak trudny, że dziecko dusiło się wyraźnie. Przyje-

chali lekarze. Oglądali dziecko: źle! Jakaś mu się narośli nagle w gardle zrobiła i tamowała oddech. Dziecko rzucało się niby w konwulsjach na wszystkie strony, podnosiło głowę, wyprężało szyję i ręce, otwierało usta, jakby pragnęło złapać trochę powietrza i padało bezsilne tam gdzie stało. Lekarze próbowali tego i owego środka — daremnie. Dziecko chrapało ciągle i tylko co chwila wyrывał się z jego piersi piszczący odgłos, niby pianie koguta. Przestraszone oczy zwracał do ojca: — »Tatusz! tatusz! Ratuń mnie!« — wołał, patrząc błagającym spojrzeniem. Pipele pochwycił go w objęcia, do siebie przytulał, trząsł — sam nie wiedział co robi. — »Dusi mnie« — wołało dziecko — »wody... dusi...« — »Gdzie?« — »Tu, tu, tu... ręka jakaś mnie dusi...« — Pipele byłby własne życie oddał za życie dziecka. Na wołanie to oczy mu się otworzyły szeroko. — »Jaka ręka? Czyja?« — krzyczał przestraszony. — »Rę...ka, ręka...« — odpowiadało dziecko coraz ciszej. Pipele do lekarzy się zwrócił. — »Róbcie co na miłość boską! Ratuńcie tę niewinną dziecinę! Co chcecie zapłacić wam, dam...« — »Operację trzeba zrobić... może przyda się na co...« — Głos lekarza był cichy, spokojny obojętny. — »Dobrze... róbcie wszystko... ale prędko...« — Jeden z nich popędził do domu po instrumenty. W kwadrans potem syn już nie żył. Ostatnie wyrazy, które wyszeptał, były: — »Tatku... ręka... dusi mnie...« I skonał. Pipele zasługiwał na litość. Ludzie głośno okazywali mu współczucie, a cicho szeptał: »Skarał Pan Bóg szelmę i oszusta!«

Rabin patrzył we mnie i jak gdyby zapytania czekał.

— Cóż to znowu za kara?! — zawołałem — niewinny umarł, a łotr został przy życiu.

Rabin uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Pan Bóg wie co robi... — odrzekł z filozoficznym spokojem. — Człowiek karze po swojemu, a Pan Bóg po swojem...

Dowodzenie rabina wydało mi się mocno naciąganiem.

— No, ale ta ręka, ręka... o której pan mówiłeś? Cóż to za ręka?

— To ta sama która na ścianie kiedyś pisała: *mane, tekel...*

— Więc pan myślisz, że ona należy do kogoś...

— Nie wiem — przerwał rabin — ale ja myślę, że to *sprawiedliwość*.

W tej chwili spostrzegliśmy furmana, podążającego ku nam z batogiem w ręku. Klaskał i wołał głośno:

— Fahren! Fahren! Geschwind! Geschwind!

Wsiedliśmy po kolei do pakownej bryki — i pojechali.

FR. RAWITA.

PIERWSZA MIŁOŚĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

VII.

W połowie maja ¹⁾, na żądanie ojca, który go wzywał do kraju, do Opinogóry, opuścił Krasiński Wiedeń, i razem z Danielewiczem, któremu się również paszport kończył, podążył w strony Królestwa, obierając drogę przez Śląsk pruski, a mianowicie przez Salzbrunn, gdzie go czekało znowu spotkanie z panią Bobrową...

Przekonany, że nie on na nią, ale ona już tam na niego czekać będzie ²⁾, jechał bez wytchnienia, nigdzie się nie zatrzymując, tak zupełnie jak gdyby go każda godzina stracona mogła pozbawić »ostatniego uścisku jej ręki.« Dlatego też, kiedy po pięciodniowej podróży stanął wreszcie na miejscu ³⁾, w Salzbrunn, »niespokojny« na samą myśl o kochance, doznał zaraz na samym wstępie uczucia zawodu, rozczarowania, dowiedziawszy się, że osoby, o którą mu chodziło, nie ma jeszcze i że spodziewaną tu jest dopiero za kilka dni ⁴⁾.

Nie pozostawało, jenó uzbroić się w cierpliwość i czekać, osładzając sobie o ile możliwości czas spacerami, wycieczkami w okolice, grą w bilard, etc.

Pierwszy dzień, jak zwykle w takich razach, upłynął cały na oglądaniu miejscowości, która na Krasińskim, jak i towarzyszu jego, bardzo »pruskie«

uczyniła wrażenie. »Dzieci jedne tylko wieczorem mówią ci *Gut Abend*, a czasem kobiety; zresztą mężczyźni inni przechodzą w milczeniu wojskowym, na formę Blüchera starając się wyprężyć.« Nad każdym bilardem Fryderyk Wielki na koniu. »Wolę Madonny we Włoszech.«

Po południu korzystając z pogody, poszli do Fürstenstein, »zamku starego o milę stąd«, do którego przystęp »okolony gęstym, głuchym borem« przypomina okolice, opisywane przez Jean Paula. »Nagle stajesz nad głębokim jarem. W dole strumień huczy; boki spadziste, nastrzępione jodłami;«; pośrodku doliny — podobnej do naszej Ojcowskiej — wznosi się opoka, równie odległa od obu brzegów, »a na niej gniazdo arystokratyczne grafów Hochbergów, zachowane w całości.« Mury, ostrołukami podparte »nakształt Verońskich gmachów«, przez to ciekawe, że się w nich nic ani wewnątrz, ani zewnątrz »od 1500 roku nie zmieniło.« Wszędzie gobeliny, kantorki, wykładane szyldkretem i weneckimi lustrami, ogromne krzesła, obite tkaniną ręczną, wyścielane haftami pań średniowiecznych, pań zadumanych, samotnych, romansujących z paziami. Ściany korytarzy pozawieszane staremi, zblakłemi portretami przodków: blade twarze mężczyzn i kobiet. »Muszą one o zmierzchu — mówił poeta do Danielewicza — odrywać się od płócien i wlec się po zamku, dopóki kur nie zapieje.«

Wyszedłszy na szczyt wieży więzień, nad kaplicą, z kądem widok rozległy »cudnej piękności«, na bory, na wsie, na wzgórze, a wreszcie na sine góry Czech,

¹⁾ »Listy«, t. I. str. 126.

²⁾ »Listy do Jaroszyńskiego«, str. 27. »W takich chwilach, Edwardzie, patrząc na mnie, przyznałbyś, że Hegel nie jest lekarstwem na wszystko.«

³⁾ 14 maja 1838 r. (Patrz »Listy do Gaszyńskiego«, str. 133).

⁴⁾ Zob. list do Soltana, Salzbrunn, 19 maja 1838 r. »Powiadam mu (pocztmistrzowi), że jadę do Salzbrunn, że tam jest kuzynka, z którą się chowałem, etc.«

⁵⁾ 19 maja o 4-ej rano. O przygodzie, jaką miał w podróży między Sternberg a Neisse, zob. w tymże liście.

TEVIS-BROCHOCKA.



BABCIA.

jak okrągłe ramy, opasujące krajobraz, popadł Krasinski »w głęboką, w nieskończoną smętność.« Opanowany nią, nie mógł z przyjacielem rozmawiać o czem innym, tylko o upłynionych latach, o mostach zwodzonych, o tych ludziach od stóp do głowy w żelazne zakuty zbroje, którzy »na wzór orłów obierali sobie szczyty na mieszkania...« I »zamarzył się« do tego stopnia, że »mimo niespokojności, mimo tęsknoty«, doznawał złudzenia, jakoby surdut jego w kolczugę się przedzierzgał... »Nie kapelusz, ale hełm przytykał mi do skroni.« Tak przyodziały, »lekki w ciężkim pancerzu« patrząc »na drogę, kędy jechać ma ona«, spojrzeniem »zapraszał ją do tego zamku...« Przyjacielowi zaś, o którego wsparty, »panował całej dolinie«, mówił: »O, daj mi kochankę w takim ustroniu... Niech choć jedną noc z nią przebędę w tych komnatach gotyckich. Niech od wieczora do ranka marzę, iż jestem częścią przeszłości, a nie teraźniejszej doliny poddanym; niech ona będzie panią zamku tego: a nazajutrz puszcę się z mężniejszym sercem tam, gdzie iść muszę, gdzie ja sługą będę!«

Pani Bobrowa jednakże dała mu czekać na swoje przybycie jeszcze dni kilka (dżdżystych, chłodnych i wietrznych) które sobie skracać należało — wobec niemożności wychodzenia na dwór — pisanem listów; do Sołtana np. albo też grą w bilard lub szachy, od rana do wieczora, przyczem, widząc Zygmunta »smutnym« wciąż, zamyślnym, roztargnionym i niespokojnym, Danielewicz »wściekał się...«

Smutek ten, wynikający, jak się domyśleć łatwo, z »niespokojności«, miał z chwilą przyjazdu pani Joanny¹⁾ ustąpić miejsca dziwnemu jakiemuś, a trudno określić się dającemu uczuciu, którego na razie sam nawet Krasinski dokładnie określić nie umiał... Dziwne bo też było to uczucie! Kto wie, czy nazwa litości nie była dlań najodpowiedniejszą. Widok kochanki, zmienionej bardzo od czasu ostatniego widzenia się ich we Frankfurcie, nie mógł w sercu poety nie obudzić uczucia litości, nie mógł go nie zmiekczyć, nie wzruszyć. Że tak było, dowodem pierwszy dzień spędzony z nią razem, u niej, przy niej, u jej stóp, dzień, który mu »cały« minął, »jak sen, pełen tęsknoty«, a po którego upływie zdawało się poecie — o ile nie starał się wmówić tego w siebie — że nie kochać jej nie leży w jego mocy²⁾. »Im słabsza« — spowiadał się przed Sołtanem — »im smutniejsza, im coraz bardziej tracąca piękność dawną, tem mocniej lgnie serce moje do niej. Czasem, kiedy się zamyśli i spojrzę, Bóg wie gdzie, rzekłbyś, że letarg ciemnego obłąkania się zaczyna.« Na widok ten, »serce się w nim krajało«, powiada, i całował jej ręce, błagając na klęczkach, ażeby przemówiła, ażeby nie przerażała go dłużej taką zadumą okropną, zadumą Ofelii. I czuł »w duszy« lży, chociaż ich nie miał w oku.

Współczucie to wszakże, wywołane pierwszym wrażeniem, trwało niedługo. Oswoivszy się z żalobną postacią kochanki, nie widząc w niej już »piękności dawnej«, którą, jak uważał, traciła »coraz bardziej« nie mógł się opędzić refleksji, szepczającej mu raz po raz, jak Faustowi Mefistofeles do ucha: »Nieszczęsny ten, kto z naiwnością dziecka, z marzeniem o szlache-

tności, targnął się na cudze prawa: żonę od męża oderwał, matkę od dzieci.«

— Jam to uczynił, myśląc, szalony! że na tej drodze poezya i wiosna.

I oto poniżeni oboje: on przed sobą, ona przed światem.

Z drugiej strony, będąc już w gruncie rzeczy zimnym i obojętnym, czuł się zmęczony tym despotyzmem kochanki, wymagającej, ażeby wszystek swój czas jej wyłącznie poświęcał, »z nią, przy niej,« i dla tego donosząc przyjacielowi: »Jutro wyjeżdżam,« nie dodał jak dwa lata temu: »Jutro kończy się młodość moja,« lecz: »Gdy przyjdzie pojutrze, wszystko już będzie przeszłością.«

Myśl o tem przynosiła mu ulgę. To też kiedy Joanna, na kilka godzin przed ostatecznem pożegnaniem, rozżalona, ze łzami w oczach, głosem, dławionym łkaniem, szeptała: »Daj mi twą rękę, niech czuję, żeś blizki,« i kiedy, przeglądając się w jego źrenicach, mówiła czule: »Tyś wielki, piękny, ty masz wzrok aniola!« on nie miał jej, niestety! nic już do powiedzenia.

VIII.

To spotkanie w Salzbrunn miało być ostatnie. W Opinogórze bowiem spotkał się Krasinski zaraz pierwszego dnia po przyjeździe »z prośbą i groźbą« ze strony ojca, »z płaczem i rozkazem,« ażeby zerwał ten kompromitujący go tylko stosunek, w którym, jak sam zresztą widzi najlepiej, nie ma dlań »żadnej przyszłości.« Perswazyje te, jak to było do przewidzenia zresztą, wywołały niechęć szeregu zajść przykrych pomiędzy ojcem a synem; w miarę bowiem, jak pierwszy nalegał, drugi »odmawiał ostatecznie,« co wobec wrażliwej niesłuchanie na opór woli hr. Wincentego równało się — w jego przynajmniej o obowiązkach synowskich wyobrażeniu — zuchwałości i nieposłuszeństwu. Rzecz prosta, że wobec takich warunków wspólny pobyt tym razem pod dachem rodzinnego domu »był dla obu męczarnią«: dla ojca, ponieważ, jako generał, przywykł do rozkazywania i, wymagając od jedynaka, jak od żołnierza, bezwzględnej, iście wojskowej subordynacji, nie znosił opozycji; dla poety zaś, ponieważ czuł i rozumiał, że czyniąc zadość rodzicielskiej radzie, postąpiłby wbrew swemu przekonaniu, wbrew głosowi sumienia i, co najgorsza, wbrew swym pojęciom o honorze i uczciwości. Z drugiej strony, widząc, że dzięki zatargom tym »mniej więcej wypadł z łask ojca,« wyrzucał sobie, że »w niczem nie odpowiedział jego myślom,« choć myśli te »dobremi i słusznemi były,« i że, zamiast wdzięcznością odpłacać za dobroć, tylko mu »zakręcał serce niektórymi czynnościami swemi.« »Ileż razy na dzień« — pisał do przyjaciela — »spojrzeniem lub słowem nieznaczącem ojciec mi objawia, że jego nadzieje zniszczył i że oba samotni jesteśmy na ziemi.«

Ażeby tego rodzaju »spojrzeń i słów nieznaczących« o ile możności uniknąć, spędzał autor »Irydioną« wieczory najczęściej u siebie, w swoim pokoju, sam jeden. »Świeca gdzieś za parawanem tleje« — użala się przed Jaroszyńskim — »myśli moje snują się bez końca, ale nieskończonością goryczy, smutku, wstrętu.«

Życie takie »nie mogło nie być przykrem,« zwłaszcza dla Zygmunta, który sobie doskonale umiał zdać sprawę z tego, że postępowaniem swem »zabija« ojca i że »nawzajem sam zabijany« jest przezeń.

¹⁾ Około 27 maja 1838 r. List bowiem LXII do Sołtana (u St. Tarnowskiego, *op. cit.*, str. 97) nosi datę 29 maja.

²⁾ »Wmawia w siebie, w nią i w przyjaciela, że ją kocha, a czasem wyrzywa mu się mimowoli jęk bolesny, świadczący o prawdziwym stanie jego duszy.« »Moja Beatrice«, str. 5.

Wobec tej nadmiernie rozwiniętej w nim świadomości, nie prześlępiającej niczego, ale, przeciwnie, jeszcze dramatyzującej wszystko, dziwić mu się nie można bynajmniej, jeżeli teraz w Opinogórze chory był »na umyśle« i »na sercu,« jeżeli go choroba ta »ssała na kształt raka,« z najlepszych ogałającą siłę, i jeżeli w »niczem nieuleczalnej« nieraz pogrążony tęsknocie, sądził, że oto się już dostał do piekła »nie do owego, gdzie płomień bucha, ale do gorszego, gdzie próżnia nieskończona i brak wszelkiej nadziei i myśli; do piekła dusz, które niegdyś żyły w niebie i poszły na wygnanie potem, i czują dobitnie, w każdej chwili sekundy, że nigdy do nieba nie zdołają powrócić.«

Tak upłynęło trzy tygodnie. Z nadejściem czwartego, hrabia Wincenty Krasiński, przekonawszy się, że nic na synu »wymódl nie może,« postanowił, nie zważając na jego błagania i zakłęcia, chwycić się radykalnego środka i, nie widząc na razie innego sposobu zakończenia sprawy, udał się na Wołyń, do Zahajec, ażeby się osobiście rozmówić z panią Bobrową i, przedstawivszy jej, jak rzeczy stoją, »od niej samej uzyskać poparcie w nacisku jaki wywierał na Zygmunta.«

Jakoż dopiął celu i, kiedy powrócił do domu, przywiózł pocie »kilka słów od niej, drżącą ręką pisanych,« w których mówiła, że »musiała« zgodzić się na to, by »ostatni raz« list ten do niego napisać. Bo »tak, jak on nie mógł przystać, tak ona nie mogła nie przystać.«

Co się działo w duszy Krasińskiego przez czas, kiedy ojciec jego bawił na Wołyniu? Jakie myśli przesuwaly mu się przez głowę, kiedy sobie wyobraził spotkanie jenerała z Joanną i scenę, jaka się rozegrać pomiędzy nimi musiała, nim przyszło do skreślenia »drżącą ręką« owych »kilku słów pożegnania na zawsze?« Tego tajemnicę poniósł z sobą poeta do grobu. Bądź co bądź, był to niezmiernie posępny widnokrąg w jego życiu, widnokrąg, którego »myśli i trosk« nawet Soltanowi — choć zwykle żadnych dlań nie miewał tajemnic — powierzyć nie chciał. Zaznaczył tylko — w liście z d. 20 lipca 1838 — że te dwa miesiące zostawiły w umyśle jego »wrażenie roku całego: tyle — powiada — odmiennych położeń i stanowisk doznałem.

Na domiar złego, ojciec, mając w ręku czarno na białem, oficjalne zrzeczenie się ze strony pani Bobrowej wszelkich praw do Zygmunta, zaczął go znów »swatać« i namawiać, żeby się żenił, stawiając za przykład Danielewicza, który się właśnie zakochał w pannie Krzyżanowskiej i, myślał ożeniwszy się, osiąść na gospodarstwie. Autor »Irydiona« wszelako »wzdrygał się na samą myśl małżeństwa, jak gdyby nastąpił na łuskę węża.« Wiedział, że »wskrzeszać umarłych jest szalonych zamiarem; a śmierć udać za życie, trupa rzucić komuś do boku, zamiast ciała pełnego krwi i ducha,« to »obrzydliwa rzecz.«

Zatraciwszy już znaczenie słowa tego: »kobieta«, od chwili, kiedy mu »świeżość młodości« stała się obcą, żadnych sobie co do przyszłości swej nie robił iluzji, przekonany, że cokolwiek mu się jeszcze zdarzyć może w życiu, będzie »formą tylko, a nie treścią, fałszem a nie prawdą, liberyą, włożoną mu na barki, a nie własną szatą, musem a nie wolnością, męką a nie pokojem; i dlatego »sam wyraz swaty« brzmiał w jego uszach »na podobieństwo tego drugiego: pogrzeb.«

— Stałem się uosobioną troską i tęsknotą — czytamy w jednym z listów; pomiędzy wierszami zaś (między którymi czytać umiejętnie obowiązkiem jest każdego historyka-psychologa) niejednokrotnie napisane stoi, że największą mu w rozpacz przynosiła ulgę ta właśnie możność względnego wypowiedzenia się przed Soltanem, Gaszyńskim i Jaroszyńskim.

Przed ostatnim zwłaszcza. Edward bowiem, jako sąsiadujący z Bobrami, miał często sposobność widywania pani Joanny, rozmawiania z nią, pocieszania jej. Wysyłał też doń teraz poeta list po liście, prosząc go w każdym, by »czuwał nad nią i, jeżeli jej położenie kiedykolwiek wymagać będzie, nadbiegł jej na pomoc,« a jego »zaraz o tem uwiadomił.«

— Donieś mi też — prosi przyjaciela w liście z Opinogóry d. 27 Aug. 1838 r. — co się z nią dzieje? Co mąż robi? W jakim ona stanie umysłu? Bo zupełnie przerwane są między nami komunikacje; a codzień czuję, jakby przekleństwo, wiszące mi nad głową, za to, że dowiodł ją do nieszczęścia. Ona i ja będziemy tego znamię całe życie nosili.

A jednak, wśród tych katuszy moralnych, miewał i takie chwile, w których rad był po prostu, że się wycofał z tego »kału« zawsze go zawracającego a nieruchomego, z tej »czarnej, piekielnej, przeklętej tęsknoty, co mu groziła zgłupieniem ostatecznym i pozbawieniem wszelkiej siły,« chwile, gdzie, choć zboląły i smutny, nie mógł się oprzeć myśli, że jest już przecie zwolniony z tak ciężkich więzów, zamykających przed nim przyszłość, że ta przyszłość znów do niego należy i że może mieć jeszcze dni jasne i piękne¹⁾.

Na początku listopada²⁾ pojechał Krasiński z ojcem do Włoch. Danielewicz został w kraju, przy paninie. I dobrze zrobił. Musiałby albowiem żyć życiem nie swoim, ale cudzem, wstawać o czwartej z rana, kłaść się o ósmej w wieczór, jeść o dwunastej obiad etc., słowem tysiąc drobnostek odbywać, które Zygmuntovi, jako synowi, »słodziła idea obowiązku, a które nikomu drugiemu do miary by nie przypadły.« Z Danielewiczem wreszcie i jenerał, którego zdrowie było w tym czasie »nieszczególne a humor także«

¹⁾ Zob. »Moja Beatrice« str. 6.

²⁾ Do tego czasu nie bawił Krasiński wyłącznie w Opinogórze. Z listu do Soltana (Opinogóra 20 lipca 1838) dowiadujemy się, że »tydzień temu wrócił na wieś z Warszawy, gdzie piętnaście dni« spędził. »Tydzień temu« t. z., że do Opinogóry przybył około 13 lipca. Przedtem 15 dni w Warszawie t. z., że wyjechał z Opinogóry w końcu czerwca. A ponieważ przybył tam z zagranicy 5 czerwca (patrz list do Soltana z Torunia 7 czerwca 1838) ojciec zaś po trzech tygodniach nie na nim wymódl nie mogąc, udał się do pani Bobrowej, więc kiedy Wincenty Krasiński był na Wołyniu, autor »Irydiona« przeniósł się na ten czas do Warszawy. Następnie w interesie swego »folwarku pruskiego« (Kleszczewko pod Gdańskiem) spędził »kilkanaście dni« w Gdańsku, który nazywa »miastem starem, pięknem, gdzieiegdzie podobnem do Wenecyi,« tej Wenecyi, w której przed paru laty (1834) »prawdziwie był szczęśliwy«. Dlatego to w Gdańsku teraz »chodzę po ulicach — pisał do Soltana — a nieznośnie mi ciężko, tęskno, niedobrze«. Wspomnieniom też owych »dni jedynych i zbiegłych,« w Wenecyi przeżytych w towarzystwie pani Bobrowej, trzeba przypisać następujący ustęp z listu do Soltana (Gdańsk 12 sierpnia 1838): »Zdaje mi się, że jest prawem stworzenia, iżby człowiek coraz bardziej smętniał, im dalej postępuje w życie. Zrazu tęcze się snują, przewodniczki nadziei, potem prysną zwodnice, i coś mieni światłem, w deszcz się przetwarza; później i deszczu nie znajdziesz nigdzie, choćbyś kropli jego rad z chustki wycisnąć i niemi usta odwilżyć. Będzie pogoda szara, sucha, pod nogami piasek, mgła nad głową, i w mgle utoniesz na wieki.« W liście do Gaszyńskiego zaś (Gdańsk 13 sierpnia 1838) znajdujemy twierdzenie, że »zatrute owoce z miłości się rodzą; póki kwiat, póty wiosna tylko.«

Po powrocie z Gdańska »do domu,« gdzie się zatrzymał na 10 dni, pojechał jeszcze »do Litwy,« (we wrześniu), październik zeszedł mu częścią w Opinogórze, częścią w Warszawie. Ciągłe z ojcem.

musiałby się żenować, co wszystko — dodaje Krasin-
ski — Konstanty przeczuwał doskonale, pomimo, iż
generał »do tyła był łaskaw, że już miał paszport dla
niego.« Dla poety jednakże, przywykłego podróżować
inaczej, przeprawa ta, »przez deszcze i śniegi w gó-
rach« w ciągu ośmiu »dni i nocy wciąż, nigdzie nie
odpoczywając,« nie należała do najprzyjemniejszych.
Co za kontrast z dawniejszymi podróżami, z ową »naj-
piękniejszą« np. w r. 1834, kiedy to »w powietrzu
rozlany był szal miłości, namiętności, nadziei, zachwy-
cenia!« Co za przepaść pomiędzy owym tygodniem,
wówczas spędzonym w Wenecyi, a teraz! To samo
miasto, które było dlań »snem piękności« do nieda-
wna, które nazwał »swoją kochanką wśród miast
wszystkich,« wyglądało mu dzisiaj tak smutno, że go
aż serce bolało i sądził chwilami, jakoby wszystko już
zmarwiało dla niego i oniemiało na ziemi¹⁾. To niebo
turkusowe, które mu już nie świeciło nad twarzą ko-
chanki, ani nad bladym licem przyjaciela²⁾, te wody,
te pałace, te gondole, wszystko to niegdyś »tak szczę-
śliwe,« obecnie »jak grób« stało przed nim. »O, nie
wracaj nigdy do miejsc, kędy szczęśliwy byłeś,« bo,
nie tylko, że »w nich już nie zastaniesz szczęścia da-
wnego,« ale jeszcze »wydadzą ci się trupem, z które-
go wyleciała dusza, i mniej jednym, cudnym, rajskim
obrazem będziesz miał w pamięci życia twego.«

Na San Benedetti natknął się przypadkiem na
malarza Torre, swego znajomego z roku 1835...³⁾
Ileż wspomnień budziło się w nim na widok tego
człowieka, który im wtedy przy akompaniamencie
mandoliny śpiewał weneckie *canzoni*... Iluż chwil
szczęścia i upojenia człowiek ten był świadkiem! Po-
znali go »na rynku św. Marka.« Śpiewał, jak teraz.
A ponieważ zakochanych stać na najekscytryczniejsze
częstokroć pomysły, więc zaprosili go do siebie, do
pomieszkania Joanny, ażeby śpiewał dla nich tylko...
Po kilku takich koncertach przypominających sceny
z szekspirowskiego »Kupca Weneckiego,« okazało się,
że w śpiewaku ulicznym tkwił jednocześnie i malarz
niepośledniego talentu, malarz-portrecista. Zapytany,
czy nie podjąłby się zrobienia portretu signory, od-
powiedział, że zależy to tylko od tego, jaki sobie ży-
czą. Skończyło się na tem, że pani Joanna zdecydo-
wała się sprowadzić Torre'go na Wołyń, ażeby tam,
nie spiesząc się, portret jej namalował. Zamiar, szalony
na pozór, przyoblekł się w czyn. Torre spędził rok
blisko na Wołyniu⁴⁾, w Zahajcach, malując portret
pani, urozmaicając jej wieczory śpiewem tych samych
pieśni, których słuchała niedawno z ukochanym w We-
necyi. Wracając później z Wołynia, zatrzymał się dłu-
szy czas w Wiedniu, gdzie dzięki protekcji Zygmunta,
malował, między innymi, portret Marysi Sołtanówny.
Teraz powrócił znów do rodzinnego miasta i nie tra-
cąc fantazyi, śpiewał po ulicach. »Włoch prawdziwy!
gdzie pędzlem nie może, tam głosem nadrabia.« Py-
szna postać! Trudno o romantyczniejszą.

Swoją drogą, to spotkanie z człowiekiem, który
go znał niegdyś wesołym i szczęśliwym, w tem »sroż-
szą« jeszcze pograżyło Krasinśkiego samotność: »nie
ową zewnętrzną (ta bowiem nie była mu nigdy wstrę-
tna) ale ową wewnętrzną, w której serce kona powoli.«

— Ach! wczoraj, nocą, kazałem się wieść gon-

dola, po tych śpiących, czarnych kanałach. Przypomi-
nałem sobie, że niegdyś, przy księżycu i słońcu, na
wiosnę i w lato¹⁾, przy muzyce i z przyjaciółmi²⁾,
otoczony wszystką rozkoszą życia, na tych samych
wodach pływałem; i stało mi się tak gorzko, że mi
się wydało, jakobym już przeszedł *il ponte dei sospiri*
życia mego.³⁾

Podobne wrażenie, jak teraz Wenecya, zrobił na nim,
w trzy tygodnie później, Rzym, w którym stanawszy,
ujrzał odrazu całą młodość swoją »wracającą na te
miejsc, jak duch Irydiona, po latach wielu.« To też,
od chwili, kiedy na widnokręgu, we mgle oddalenia,
zamajaczyła kopuła św. Piotra, rozigrana w promie-
niach słońca, ów »dziwny, niezrozumiały« spokój du-
cha, towarzyszący mu, jak Massynissa Irydionowi,
dopóki jechał przez Kampanię, uleciał nagle, jak sen,
i powróciła dawna »niespokojność«, wróciły »zmory,
z których uwite życie«, a które sprawiły, że poeta,
niczem *Furiis agilitus Orestes*⁴⁾, wstąpił odtąd w naj-
gorszą, jaka istnieje, fazę psychiczną: w fazę wyrzu-
tów sumienia. »Czy ty wiesz co mnie czeka? Czy ty
wiesz, że może za pół roku, obaczę się w najdzikszym,
w najzagmatwanym położeniu, gdzie stracę rozum,
nie wiedząc, komu się powierzyć: czy dyabłu, czy
aniołowi stróżowi, czy przypadkowi ślepemu, czy ra-
chubie. I jędze mnie rozszarpia... Już i modlić się nie
umiem za siebie!« Gdy wchodził do kościoła, chwy-
tał go »jakiś wstręt, jakiś dreszcz!« kolana sztywniały,
jeżeli chciał ukłęknać. »Chcę zacząć Zdrowaś Marya,
a to imię Marya samo jedno tylko z ust moich wy-
chodzi, reszta w gardle utyka«⁵⁾. Kiedy pomyślał, że
»teraz ona smutna i cierpiąca,« »bez nadziei jakiegol-
wiek przyszłości,« kiedy widział w wyobraźni swej
»jej twarz bladą i coraz bledszą« i »w oddali samotne
łóże choroby, samotną śmierć,« kiedy ją wyobraził
sobie przypominającą dzieje przeszłości i wymawiającą
jego imię; »a to imię odbija się tak żałobnie, tak ka-
miennie w sercu nieszczęśliwej,« że ona sama, być
może, doda do niego przekleństwo, lub krzyknie:
»o Boże, czemuś nasłał na mnie tego człowieka;«
kiedy pomyślał o tem, och, wtedy, wtedy, piekło sta-
wało mu się »zrozumiałem, jasnem, widomem, doty-
kalnem.« Albowiem nic nie przemawiało za nim!
Wszystko potępiało go, wszystko »przebieganych
domagało się ofiar!« Wszystko! Nawet »trybunał ro-
zumu!«

Takimi »larwami« otoczony⁶⁾, zazdrościł przy-
jacielowi, który siedząc na wsi, studiował Hegla, spo-
kójny, nie wiedząc zupełnie, »co to pamięć kochanej,
połączona z wyrzutami, co to jej głos cichy, we wnętrzu
duszy szepczący.« Nieraz, bywało, ludzie posnęli
już dawno, a on, w gorączce, leżał z otwartymi oczy-
ma i »lękał się« tego głosu, który mu brzmiał koło

¹⁾ »Na wiosnę i w lato«. Ma tu Krasinśki na myśli wiosnę r. 1834 (druga połowa maja) oraz lato, r. 1835 (wrzesień).

²⁾ Z Jaroszyńskim i Danielewiczem w r. 1834.

³⁾ Zob. Listy t. II. Wenecya, 16 novembr. 1838. W kilka dni później, w liście z d. 23 nov. 1838 r. zapytuje Krasinśki bawiącego w Wiedniu Sołtana: »Powiedz też cokolwiek o Burgu. Co Rettich po-
rabia?« Dowodzi to, że obok wspomnień o pani B. znalazło się je-
szcze w umyśle poety dosyć miejsca na wspomnienia o powabnej
aktorce z *Burg-Theater*.

⁴⁾ Tak się podpisał poeta w jednym z listów do Małachow-
skiego; przydomek ten nadał sobie również w liście do Juliusza Sło-
wackiego, w którym mowa o pani Bobrowej. (Rzym 16 marca 1841 r.).
»A nie myśl, Julu, by tu się odzywał ze mnie *Furiis agilitus Orestes*,
nie, cichym teraz, jak dziecię,« etc.

⁵⁾ Listy do Jaroszyńskiego, str. 22.

⁶⁾ Zob. List do Jaroszyńskiego. Neapol 29 Decembra 1838.

¹⁾ List z Wenecyi do Sołtana 16 Novembra 1838.

²⁾ List z Wenecyi do Gaszyńskiego 18 Novembra 1838.

³⁾ Zob. Listy t. II. str. 123.

⁴⁾ Tamże.

TEVIS-BROCHOCKA.



uszu. »I radbyś go zatrzymać, by przez wieki mówił do ciebie, i chciałbyś go odegnąć...«

Chwilami znów, chcąc po prostu »oszukać siebie,« rozumował sofistycznie jak adwokat, broniący sprawy, w której nieskazitelność nie wierzy, iż coś przecież »dobrego i świętego« przejęła odeń, że »światy ducha,« które on przed nią roztaczał, a w które ona »uwierzyła« nie mogły nie wywrzeć na nią dobroczynnego pod wielu względami wpływu. Ale rozumowanie podobne nie zyskiwało, niestety, aprobaty sumienia, które mówiło, że kochanka »na szczęście zawiedziona,« złorzeczy teraz wszystkiemu, czem ją »natchnąć« pragnął i że, rozważając rzecz po kobiecemu, ze swego punktu widzenia, nawet o samej idei tych natchnień źle trzyma i zaprzecza im »w goryczy serca...« A dlaczego? Dlatego, ponieważ natchnienie to »widomego nie przybrało kształtu,« ponieważ słowom nie dorównywały czyny. Bo, nie należy zapominać, iż dusza niewieścia tem różni się od męskiej, że prawdę pojmuje przez objawienie jej, nigdy zaś *a priori*. One wszystkie podobne Tomaszowi, co ran potrzebował się dotknąć palcem, by sercem uwierzyć w Zmartwychwstanie Pańskie.

Winy jego względem niej »nikt ocenić nie zdoła« prócz niego samego, albowiem on tylko widział — wtedy w Wenecyi — błagalny »wyraz jej twarzy« na który »nie zważać« i walczyć z nim, było po prostu »okrucieństwem« i »najogromniejszym samolubstwem«¹⁾.

Przekonany o tem, trapiiony »żalem niezapomnianym, nieuniknionym,« uciekał z domu, ledwie z poza szczytów latyńskich wyjrzała blada twarz Cyntyi... I kiedy »nad piołunem piasków, nad sitowiem bagnisk, nad samotnemi sosnami wzgórz, nad cyprysami dolin« kołowały cienie nocy; kiedy »gwiazda wieczorna, dawnych ludzi bogini« wznosiła się żałobnie, a z nią »kilka łez rosy padało tu i owdzie«²⁾, on szedł jak duch Irydiona, przez *via Sacra*, przez drogę zwycięstw, stopniami ze żwiru i błota, na *Forum Romanum*, i patrząc na te zwaliska, na ten bluszcz, »zieloną rozkosz jaszczurek,« które, »jak liście jesienne przed wiatrem« uciekały przed nim; na te odkopane kolumny korynckie, sterczące wysmukłe »jak dusze nawpół wychylone z trumny«; na te »pałace dumnych w żółty piasek wryte«; na te bogów poćwiertowane ciała; na te bohaterów rozpadłe piersi z jaspisu lub porfiru; zamyślony »nad dniami przeszłości,« błądził po owej »przestrzeni ruin,« własności swojej, »tak ogromnie smutny, taką nocą obleczon« że był »jako głaz, zdatny do leżenia między głazami.«

— O nocy jedyna, ostatnia! nocy miłości mojej! Coś słonecznego w blaskach twych jaśnieje!

Marząc tak, przy świetle gwiazd, migających na sinym stropie nieba, »jak tysiąc złotych wspomnień i uragań,« zachodził do Koloseum, które teraz, w oświeceniu księżycowem, zdawało się »dotąd stać cało...«

Na milczącej arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad przemienionych w dzikie skały, z bluszczami

u wierzchołków, z szczelinami w łonie, z czarnym, drewnianym krzyżem pośrodku, w miejscu, gdzie marli Nazareńczycy, szarpani kłami lampartów, hyjen, tygrysów i lwów: wszystko, co przeżył, co widział, co czuł niegdyś, wszystko, czego był »częścią,« wracało mu na pamięć.

Tu, na wiosnę, pamięta, »rwali fiołki, rosące na grobach Świętych i gladiatorów«; tam, na szczycie gmachu, w taką samą, jak dziś, noc księżycową, »opowiadał jej zgon narodów.«¹⁾ Pochyleni »nad tą otchłanią przeszłości,« poglądali »na miasto, całe uspięne, i pustynię Kampanii rzymskiej,« oboje ukolysani, jak gdyby odurzeni tą nocną ciszą, która niezakłócona niczem, majestatyczna, zalegała dookoła... I stali tak, nie wiedząc sami, jak długo: ona »truchlejąca,« wsparta na jego ramieniu, tuląca mu się »do piersi,« jak pisklę pod matczyne skrzydło; on rozmarzony, szczęśliwy, natchniony.

Czasami, kiedy arena amfiteatru »brzmiała muzyką niewidzialnego chóru,« doznawał złudzenia, że słyszy Danilewicza, grającego melancholijne *Adagio* z Beethovenowskiej sonaty *Cis-mol*, że widzi go »w promieniach księżyca« i że z nim razem odwiedza »tę włość duszy« swojej...

Częściej wszakże, aniżeli »błada, wysmukła mara Konstantego,« inne mu przed oczyma stawało widmo...

— Ty ku temu słodkiemu licu podniosłeś oczy, poznałeś dawne kształty, ale wyswieżone rosą, wyjaśnione tchnieniem niebios, i spoglądałeś na nie, jak ten, co się żegna z pięknością na wieki.

Piękność ta, żałobna i smutna, choć »bielejąca przejrzystą jasnością,« choć w koło niej zebrały się wszystkie miłości księżyca i, jak wstęgi powiewne, to skupiały się to rozpuszczały w promienie, poglądała nań łzawo, jakby z wyrzutem, i zdawało mu się, że słyszy jej głos, ten sam głos łagodny i dźwięczny, którym ucho jego poila tyle razy, a którym teraz wymawiała mu:

Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi,
Dla ciebiem drobne porzuciła dzieci,
Choć Bóg przykazał pozostać się z niemi...

I kiedy on, jak człowiek, co ma nieczyste sumienie, w przeciwną stronę odwracał »ponure oblicze,« mara mówiła spokojnie:

Czy i ty zdradzisz tę, którą kochałeś,
Tę, której nigdy żoną nie nazwałeś,
A która ci była więcej, niż żona,
Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
Któremi ludzkie kochanie przezwali?

A po chwili:

Patrz! Ja być mogła tak czysta, tak święta!
A teraz będę na wieki przeklęta!
I dzieciom moim ojciec nie odpowie,
Gdy się spytają: »Jak się matka zowie?«

Jak się matka zowie? Na pytanie to, »z nad szczytów zamku odparł żałośny krzyk sowy«:

— Między Poppeą a Messaliną postawiono jej ołtarze!

Krzyk ten, złowrogo rozbrzmiewający »nad milczeniem wszystkich duchów,« głuchem, śmiertelnem echem obijał się o mury Koloseum, a poecie, stojącemu pod »czarnym, smutnym krzyżem« zdało się, że słyszy, jakoby słowa skargi, słowa, z których każde,

¹⁾ Zob. Listy do Jaroszyńskiego, str. 17. W jednym z listów do Słowackiego, gdzie mowa o pani Bobrowej, przyznaje się Kraszyński, że »zapewne nie zawsze po chrześcijańsku, lub po katolicku, po stoicku, lub po cnotliwemu« i t. d. postępował. »Miałem — powiada — straszne chwile egoizmu, dla mojego Ja zapomniałem, że i drudzy mają Ja swoje« etc. (Rzym 1841).

²⁾ Zob. »Irydiona« dokończenie: opis Kampanii rzymskiej i nocy księżycowej, oświecającej Forum, Koloseum etc. zarówno jak i opis Kampanii w wierszu, zaczynającym się od słów: »Jak anioł spadły, leżący w piękności« i t. d.

¹⁾ Rozmowa o »Irydionie« w r. 1835.

²⁾ W listach do Gaszyńskiego (Wydanie z r. 1860).

jak miecz ostrokończysty, nawskróś przeszywało mu serce:

— Wyrwał mię z samotności serca, a zostawił w ducha samotności. Kochałam go, a opuścił mnie¹⁾.
... Taki jest koniec tej »zagmatwanej tragedyi«²⁾.

¹⁾ Niedokończony poemat (Sen) str. 138.

²⁾ Jakkolwiek nigdy już w życiu nie spotkał się Krasiński z panią Bobrową, jakkolwiek w r. 1838 w Neapolu, zaczęła się epoka »przedświtowa« w jego życiu i jakkolwiek w r. 1846, przygotowując nową edycję swoich poezyj, pisał do Gaszyńskiego (Listy t. I. str. 256), że »dedykacye do Maryi w »Nieboskiej« i »Irydionie« winny być opuszczone,« to przecież »widmo« tej pierwszej miłości i kobiety, która miłości tej padła ofiarą, »ścigało« go »zawsze i wszędzie« bodaj czy nie do końca życia. W r. 1838 (nie zaś 1848, jak to mylnie wydrukowano na str. 106 tomu III »Pism« Z. Kr.) na jesieni, a więc jeszcze w kraju prawdopodobnie, napisał wiersz, jakby monolog pani Bobrowej, wiersz zaczynający się od słów:

Jak kawał lodu skrzepło serce moje,
W oczach mi wyschły dawnych płaczów zdroje.
Żadnych już ułud nie zapragnę nowych,
Spokój mój wielki, jak głazów grobowych i t. d.

W wierszu tym (jednym z najpiękniejszych Krasińskiego wierszy) czytamy między innymi:

... duszy we mnie zagasło przezrocze
I tak przed ludzi, jak Boga obliczem,
Nic mi jest wszystkim i wszystko mi niczem.
Nic, nic, niestety: oto słowo moje!
Oto ma wiara, oto tajemnica!
Przez nią niczego w świecie się nie boję,
Przez nią mię w świecie już nie zachwyca!
Ach! jakże dawniej lękać się umiałam!

Ach! jakże dawniej rwały mię zachwyty!
Kochałam morze, ląd, gwiazdy, błękity,
Cała z strun drżących... A dziś z głazu całam!
Ach! bo jednego człowieka kochałam
I świat mi wszystek wyglądał od niego
Rajem dóbr świętych...

W roku 1839 (w Rzymie prawdopodobnie) zaczyna Krasiński pisać »Niedokończony poemat,« którego bohaterka, księżna Rahoga, jest (o ile wnosić można z pierwszych rozdziałów) upoetyzowanym portretem pani Bobrowej. W roku 1840 powstaje znów wiersz, znany powszechnie p. t. »Zawsze i wszędzie.«

O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że ciebie tylko goryczą poilem,
Bo ja goryczy kielich także piłem
Zawsze i wszędzie.

O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że tobie tylko los życia popsulem,
Bo własną dolę ja także zatrulałem
Zawsze i wszędzie.

i t. d. i t. d.

Nakoniec w r. 1841 wyszła w Paryżu »Noc letnia« (napisana znacznie wcześniej) opatrzona dedykacją wierszem do »serca niewieściego i prześladowanego,« serca, »co wiele kochało« i »wiele cierpiało,« aż ostatecznie »na kształt głazu ścierpło i zlodowaciało,« serca, które (w chwili wyjścia przypisanego mu poematu) »w samotnej żałobie«

Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo,
Lecz z przebaczenia anielską pogardą.

Pod sercem tem »dumnem« i »stroskanem« rozumiał Krasiński przedmiot swojej pierwszej miłości.

FERDYNAND HÖSICK.

CZAS POWSTANIA »ANHELLEGO« I ZNACZENIE POEMATU.

»Anhelli« Słowackiego jest jednym z najgłębszych utworów literatury polskiej. Gdyby poeta należał do narodu więcej literackiego, gdyby pierwszorzędne w jego społeczeństwie utwory stawały się własnością ogółu, a nie pozostawały bibliograficznym dokumentem, lub pięknym kamieniem pamięci, stawianym na cmentarzach — a widzianym raz do roku, ledwie w jakimś dniu zadusznym literatury — postać Anhellego dawno już stałaby się typową, dawno już przeszłaby granice językowe Polski. Anhelli byłby podobnie jak Konrad z »Dziadów« przedstawicielem najwyższych idei społeczeństwa, leżącego w agonii, tak jak Faust, Manfred, Don Juan są typami ogólnoludzkimi sensualizmu i spirytualizmu.

W historycznej chwili nieszczęść politycznych, kiedy Słowacki pisał Anhellego, mało kto rozumiał dzieło. Przyczynić się musiała do tego i trudność rozpowszechniania poematu pod zaborem, zwłaszcza rosyjskim. Utracił więc poniekąd »Anhelli« najwłaściwszą sposobność wywarcia wpływu na szerokie masy czytelników, które po roku 1831 najlepiej, jeśli nie zrozumieć, to choć odczuć mogły ostatnich granic poezji sięgającą piękność utworu. Potem krytyka przyszła i nazwała utwór ciemnym, mglistym, niezrozumiałym.

Jeden z dziś żyjących głośniejszych krytyków, Jerzy Brandes, w swoim studium o Nietsschem porównywał »Zarathustrę« tego filozofa z »Księgami pielgrzymstwa« i z »Anhellim« i stawia te dzieła w rzędzie najgłębszych utworów literatury światowej. Zestawienie trzech dzieł wymienionych jest trochę dziwnem, ale dowodzi ono w każdym razie niezwykłego wrażenia, jakiego i cudzoziemiec doznaje czytając »Anhellego«.

Aby zrozumieć znaczenie utworu trzeba uprzy-

tomnić sobie czas, w którym poemat powstał. Stosunki po roku 1831 i w kraju i na emigracji były bardzo smutne. Z kraju dochodziły co dzień nowe wieści o prześladowaniach, więzieniach, konfiskatach majątków; w Paryżu swarzano się, bawiono w stronictwa i rozpaczliwe częstokroć podejmować chciano środki ratowania ojczyzny. Walka narodu z przemocą brutalną zmuszała poniekąd poetów do tworzenia dzieł treści politycznej. Słowacki pisze wówczas »Kordyana« i »Anhellego«. Oba utwory w ścisłym z sobą pozostają związku.

Kordyan jest postacią tak głęboko schwyconą, jak się nie wiele udało poecie. Choroba czczego rozmarzenia, sentymentalizmu z pierwszych lat dziesiątek naszego wieku, która obłąkała najszlachetniejsze umysły, w dziwnie pięknych barwach odmalowaną jest w pierwszym akcie. Piętnastoletni młodzieniec kocha się nieszczęśliwie, rzuca dom rodzicielski i idzie w świat. Ta nieszczęśliwa miłość jest tylko dalszym ciągiem historii własnego życia skreślonej przez poetę w »Godzinie myśli«. Słowacki kochał Ludwikę Śniadecką starszą o dwa lata od niego i kochał bez wzajemności. Skreślenie tego młodzieńczego, marzycielskiego stosunku i bezsilności wobec zagadnień życia jest mistrzowskie. Stary żołnierz Napoleoński, sługa Kordyana, Grzegórz, człowiek innej generacji, »rósł zapałem w olbrzyma.« Kordyan zaś nie ma wiary, »gdzie ludzie oddychają, on oddech utracą.« Bezsilny nie może rozwiązać wszystkich zagadek sfinksowych, wszędzie widzi pełno tajemnic, potrzeba by mu nowych skrzydeł, nowych dróg; jak Kolumb wypływa na nieznane oceany, ale »z myślą smutną i z sercem rozbitem.« Kordyan idzie w świat, szuka zmysłowych uciech, i znudzony ucieka od nich, marzy, walczy z sobą i wydo-

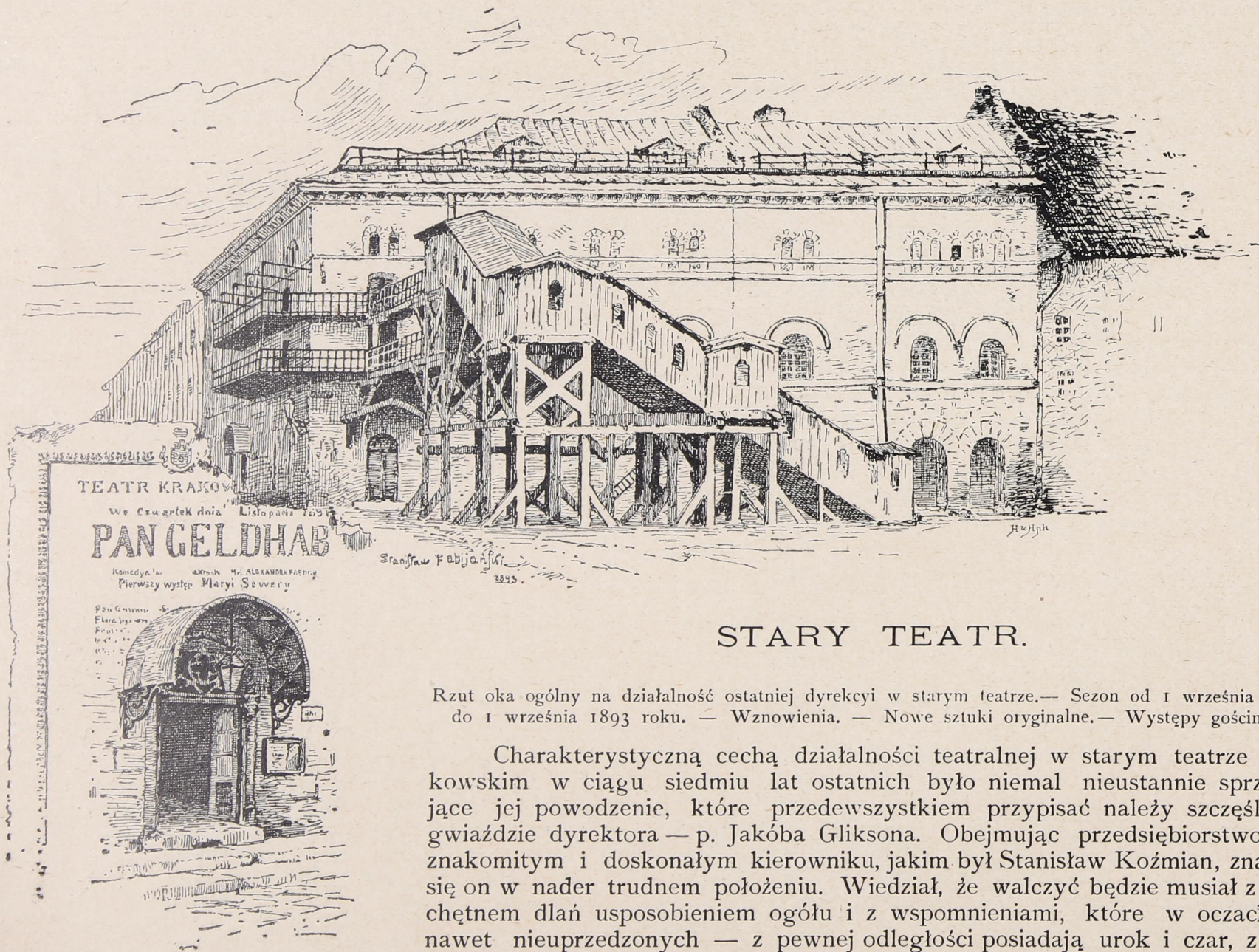
stać pragnie z duszy swej jakąś myśl przewodnią. Po drodze wstępuje w Rzymie do Ojca świętego i prosi go choć o jedną łzę za garść ziemi, »kiedy 10,000 wyrznięto dziątek, starców i niewiast« — na co papuga siedząca w komnacie odzywa się: »*Lacrima Christi*« (sławne wino pod Wezuwiuszem) a papież daje radę: »Niech się Polaki modlą czczą cara i wierzą.« (Grzegorz XVI wydał był po stłumieniu powstania w r. 1831 bulę przeciw ruchom rewolucyjnym).

Po wędrówce błędnej, nie znalazłszy nigdzie pociechy, wraca do kraju i przystępuje do spisku uknu- tego na życie cara, a stojąc na warcie w zamku królew- skim ma w nocy zamordować uzurpatora. Ale przy- widzenie, strach, imaginacja podrażniona, wstrzymują go od wykonania czynu i nad ranem pada bez czu- cia krzyżem na bagnecie u drzwi sypialnego pokoju Mikołaja. To potknięcie się w ostatecznej chwili jest chorobą wieku, to porywanie się szlachetnego z gruntu człowieka na czyny nie dające się dokonać słabemi siłami, jest charakterystyczną cechą społeczeństwa ca- łego. Skazanego na śmierć Kordyana ułaskawia car na prośbę w. księcia Konstantego.

Pierwsza część »Kordyana«, który miał być try- logią, skończona. Otóż nasuwa się pytanie, coż będzie z Kordyanem samym w części drugiej i trzeciej? Za- pewne pójdzie do więzienia lub na Sybir. A jak roz- winie się dalej jego charakter? Jakie zajmie on stano- wisko w obec kwestyj społecznych? Niepodobna przy- puszczać, żeby poeta, pisząc pierwszą część, choć w ogólnych rysach nie miał wygotowanego już planu części drugiej i trzeciej. Słowacki z pewnością nie należał do autorów, którzy myślą przy piórze, dla których — wedle Szopenhauera — pióro jest tem, co szczudło dla kulawych. Cała kompozycja »Kordyana« świadczy też o tem, że jest to dzieło, którego nie im- prowizował, ale które układał; a z prologu, w którym skreślił postacie Niemcewicza, Krukowieckiego, Lele- wela, wnioskować można, że jak Niemcewicz (jako postać starca w scenie IV ostatniego aktu) występuje w części pierwszej, tak w częściach następnych mieli wyjść na scenę Lelewel, Krukowiecki i inni. Z dal- szych tedy niewykonanych części musiało się coś zro- dzić w umyśle poety i w rzeczy samej zrodził się »Anhelli«.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DR HENRYK MONAT.



STARY TEATR.

Rzut oka ogólny na działalność ostatniej dyrekcji w starym teatrze. — Sezon od 1 września 1892 do 1 września 1893 roku. — Wznowienia. — Nowe sztuki oryginalne. — Występy gościnne.

Charakterystyczną cechą działalności teatralnej w starym teatrze kra- kowskim w ciągu siedmiu lat ostatnich było niemal nieustannie sprzyja- jące jej powodzenie, które przedewszystkiem przypisać należy szczęśliwej gwiazdzie dyrektora — p. Jakóba Gliksona. Obejmując przedsiębiorstwo po znakomitym i doskonałym kierowniku, jakim był Stanisław Koźmian, znalazł się on w nader trudnym położeniu. Wiedział, że walczyć będzie musiał z nie- chętnem dlań usposobieniem ogółu i z wspomnieniami, które w oczach — nawet nieuprzedzonych — z pewnej odległości posiadają urok i czar, wię- kszający ich kształty. Nadto spostrzegł od razu, że rozporządza trupą rozbitą,

a następnie nagle i pośpiesznie tu i owdzie zwerbowaną, zlepioną ze sprzecznych sobie żywiołów. Wprawdzie do składu jej należał artysta znakomity, p. Władysław Szymanowski, ale »gwiazda« tej miary i znaczenia nie tworzy dobrego teatru, przeciwnie silniej jeszcze uwydatnia jego słabe strony, zwłaszcza, że niemal cały perso- nal, ściągnięty z teatrzyków prowincjonalnych zakordonowych, liczył aktorów bez repertuaru, bez tradycji i ta- lentu. Różnili się oni między sobą wymową, dykcją, mimiką i manierą, niemającą nic wspólnego z przeciętnym poziomem techniki aktorskiej, jakim jaśniała niegdyś scena krakowska. Wznowienie każdej sztuki ogranej, a je-

dnak w repertuarze nieodbitie potrzebnej, przedstawiało poniekąd większe trudności, niż wystawienie nowej, bo w każdej brakło po kilku wykonawców, a świeżo zaangażowani nie mieli czasu wyuczyć się w niej ról, musieli bowiem przygotowywać się do *premii*, koniecznie co sobotę ukazać się mającej przed kinkietami dla utrzymania jakiej takiej równowagi budżetowej. Dnie i noce (pracowano niekiedy do drugiej po północy) nie wystarczały na równoczesne próby z utworów starych i nowych. Tych ostatnich brakło prawie zupełnie, po dawnej bowiem dyrekcyi — która nie widziała potrzeby zaopatrywania się w nowości dramatyczne wobec spodziewanego odstąpienia przedsiębiorstwa — pozostały same wybiórki, małej wartości. A jednak grać je trzeba było, bo nic innego nie było pod ręką.

Autorowie polscy milczeli; sceniczna produkcja zagraniczna, chwilowo wyczerpana, nie dostarczała utworów należytego znaczenia; arcydzieł zaś nie podobna było wystawiać przy bardzo słabych i niesharmonizowanych siłach, bo kilka artystek i paru artystów utalentowanych, należących do dawnego Koźmianowskiego towarzystwa, nie zapewniało jeszcze *ensemblu*, jakiego wymagają kreacje mistrzów, a obecność tak znakomitego aktora, jakim był p. Władysław Szymanowski, przyzwyczajonego do grywania w Warszawie tylko wesołych jednoaktowych fraszek, zmuszała do naginania repertuaru do jego specjalności, nie zaś specjalnych uzdolnień reszty trupy do szlachetniejszego repertuaru. Nadto prasa miejscowa nie umiała czy nie chciała uwzględnić przejściowego,



JAKÓB GLIKSON.

konstrukcyjnego położenia teatru, rodzącego się dopiero z chaosu. Szarpano dyrekcyę, krytykowano zbyt surowo aktorów, szukano dziur na całym, wyszydzano materyał »wełniany i parciany«, domagając się »atłasów«. Jednakże, pomimo tych wszystkich przeszkód i mankamentów, dzięki inteligentnej i wytrwałej pracy ówczesnego kierownika artystycznego, który w tworzący się organizm teatralny wlewał zdrowe soki żywotne i wytrawną dłoń wprawiał maszynę w ruch prawidłowy, dzięki administracyi p. Gliksona, bardzo oszczędnej i oględnej, ale czynnej i szczerze życzliwej dla aktorów, teatr krakowski — przetrwawszy paromiesięczną ospę ogólnej dlań obojętności — po wystawieniu »Teodory« Wiktoryna Sardou (napelniającej co spektakl kasę maksymalnymi dochodami) — popłynął umiejętnie rozpiętymi żaglami po morzu powodzeń, zawiązując następnie przez lat siedem, w końcu każdego

sezonu, do pomyślnego portu z ładunkiem mniejszych lub większych zysków — nigdy strat.

W czasach dzisiejszych wszelki sukces pieniężny cieszy się zwykle powszechnem uznaniem, ztąd też dziwić się nie można, że działalność p. Gliksona, z tego punktu widzenia głównie ocenioną została i pozyskała, nawet w najkompetentniejszych sferach, — sądy przychylne. Gwiazda jego całe lat siedem błyszczała światłem złotem, pogodnem.



STANISŁAW KOŹMIAN.

Nieraz nie tylko przyjazne, ale i nieprzyjazne okoliczności układały się w taki sposób, że mu przynosiły korzyść. Reżyserowie przez niego wybierani, chociaż zmieniali się zbyt często (pp. Podwyszyński, Lubicz, Żelazowski, Antoniewski) — zmieniając zarazem dodatni kierunek i pierwotny plan pierwszego kierownika — nie przynosili przecież uszczerbku przedsiębiorstwu. Każdy z nich inaczej umiał pozyskać względy publiczności, każdy mniej więcej zręcznie lub szczęśliwie przyczyniał się do napełniania kasy, zwłaszcza, że trupa nieustannie przez p. Gliksona kompletowana aktorkami i aktorami — jak na warunki czasu i miejsca wiele obiecującymi — dzielnie im dopomagała do odnoszenia tryumfów; administracya zaś, prowadzona ciągle wzorowo, znalazła w najkrytyczniejszej chwili w p. Mieczysławie Sachorowskim, sekretarzu teatralnym, bystrego i wytrawnego organizatora, który utrzymywał ład i karność wewnętrzną ze sprężystością bardzo stanowczą, niewylączającą jednak uprzejmości i taktu, — na zewnątrz zaś zapewniał scenie krakowskiej poważanie i sympatyę. Tak więc przez lat siedem, teatr kierowany pod względem materyalnym niezmiernie pomyślnie, pod względem duchowej i cywilizacyjnej swej istoty nierówno — niekiedy słabiej, niekiedy staranniej, z częstem sprzeniewierzeniem się odziedziczonemu po Koźmianie programowi — utrzymała w »starej budzie« to co utrzymać się dało: wcale dobry personal i znaczenie, zwracające nań bądź co bądź uwagę całej Polski. Do »nowego teatru« należy »nowym kursem« złe usunąć, dobre rozwinąć, podnieść i uszlachetnić.



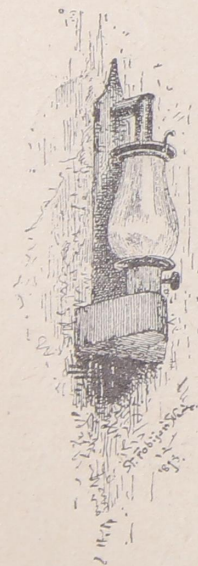
MIECZ. SACHOROWSKI.

Ostatni sezon w dawnym teatrze śmiało zaliczyć można do najlepszych.

Wartość jego stanowiła znaczna obfitość sztuk oryginalnych wznovionych i nowych, jakie dyrekcyja pozyskać zdołała i przedstawiła. Nie mówiąc o »Kościuszcze pod Racławicami«, który stale należy i należyć musi do repertuaru krakowskiego, oraz »Konfederatów Barskich«, co rok chociaż raz ukazujących się na deskach sceny naszej, wznoviono z dzieł A. hr.

Fredry (ojca): »Śluby panińskie«, »Przyjaciół«, »Damy i Huzary«, »Geldhaba«, »Pana Jowialskiego« i »Gwałtu co się dzieje«. Przypomniano nam »Mazepę« Juliusza Słowackiego. Wyciągnięto z bibliotecznego pyłu uprzedzeń (»najstarszego kursu«) Józefa Korzeniowskiego »Karpackich Górali«, który zaiste na sen wieczny nie zasługują, jak »Żydzi«, »Panna mężatka«, »Młoda wdowa« i kilka jeszcze dramatów i komedij niepospolitego pisarza, przechwalanego za życia, niedocenionego po śmierci. Powtarzano kilkakrotnie: »Pana Damazego«, »Rozbitków«, »Marcowego kawalera«, »Męża od biedy«, Józefa Blizińskiego, zwłaszcza po zgonie nieodżałowanego komedyopisarza. Grano po długoletniej przerwie: »Dame Treflową« Kazimierza Zalewskiego; »Grube ryby«, »Sąsiadów«, »Nowy Dziennik«, »Piękną żonę« Michała Bałuckiego; »Febris Aurea«, Zygmunta Sarnieckiego; »Jacusia« Edwarda Lubowskiego, oraz kilka krotchwil Adolfa Abrahamowicza i Ryszarda Ruskowskiego.

Wznawianie dzieł oryginalnych poczytujemy każdej polskiej dyrekcyi teatralnej za prawdziwą zasługę, a zarazem za rzecz zupełnie i wielce pożyteczną tak dla sceny, jak dla literatury. Prawie wszystkie utwory sceniczne rodzime posiadają niemal zawsze pewną mniejszą lub większą wartość literacką, którą umiejętnym graniem podnieść i uwydatnić należy, zwłaszcza wobec znanego u Polaków i Polek braku zmysłu i zamilowania do czytania — a w czytaniu do należytego oceniania — kreacyj dramatycznych. Z tej wrodzonej ziomkom naszym ułomności wypływają częste pomyłki naszych konkursów dramatycznych. Dyrekcyja, wznawiająca dzieła sceniczne autorów polskich, czyni dobrze dla siebie i dla słuchaczy, w teraźniejszości i dla przyszłości, spełnia bowiem obowiązek, jaki podejmując się kierownictwa teatralnego zaciągnęła względem piśmiennictwa ojczystego, odświeża w pamięci publiczności sztuki najbliższej ogół obchodzące, zarazem uczy ją oceniać je właściwie, zapewnia sobie na długo jedyny repertuar stały i racjonalny, a nadto daje artystom pole rozwijania się i kształcenia w duchu szkoły narodowej, bo tylko na utworach swojskich, rodzimych, i na ogólnoludzkich arcydziełach starego repertuaru aktor polski wyrobić się może indywidualnie i odpowiednio zadaniom, jakie mu społeczeństwo wyznaczyło. Jest to twierdzenie, wypływające z obserwacji prawdziwych znawców teatru, którzy kierują się w sądach o scenie nie dyletantyzmem lub chwilową fantazją, lecz długoletniem doświadczeniem i głębszymi studjami. Sztuki obce nowoczesne, złe czy dobre, w lichych czy dobrych tłómaczeniach — wyznajmy to szczerze — równie na scenie warszawskiej, jak krakowskiej i lwowskiej, są prawie zawsze gorzej lub lepiej przez aktorów naszych parodjowane; — powtarzamy — tylko



parodjowane. Konieczność nieraz zmusza je przedstawiać, opierać jednak na nich fundament repertuaru byłoby szkodliwem, zdrożnem i nieogłędnem, chociaż pochlebiającem ambicyom aktorskim,

tak wszechwładnie i zgubnie oddziaływającym w Polsce na program widowisk teatralnych.

Z nowości oryginalnych, jakie stary teatr dał nam w ostatnim sezonie, jedno z miejsc naczelných zajmują »Pierwionski« Kordyana Ujejskiego, śliczna pełna wdzięku *bluetka* poetyczna, której szerzej omawiać nie potrzebujemy, drukował ją bowiem *Świat*, a czytelnicy nasi najniezawodniej jej nie zapomnieli. Wytworne cacko literackie, dzięki wcale szczęśliwej interpretacyi, okazało się dziełem scenicznem, bo sceniczną utworu dramatycznego, o której dużo mówią i piszą ci co się na niej znają istotnie — i ci co się wcale nie znają, jest rzeczą nader często zależną od inteligencyi słuchaczy, oraz sił i środków wykonawców. Dla wykształconej publiczności każda sztuka dobra lub piękna, *była wykonana starannie, z uwypukleniem zalet stylowych i myślowych utworu*, będzie sceniczną; dla tłumów ciemnych nawet arcytwory Szekspira, Moliera i Beaumarchais'go względnie tylko obudzić mogą sympatyje, o tyle jedynie o ile w danym momencie oddziałają na ich uczucia i wyobraźnię. Sceniczność od wieków im przyznawana nie jednemu profanowi wydaje się problematyczną. Racine i Kornel są scenicznymi, ale tylko w paryskim *Théâtre Français*, lub niekiedy w »Odeonie«, Środki techniczne kunsztu pisarskiego, w języku zakulisowym zwane *robotą* — chociażby tak zgrabne, jak u Scribe'a lub Sardou — nieraz scenicznego powodzenia nie zapewniają, jeśli w przedstawionem dziele nie tkwi ziarno poezyi czy prawdy, smakującej w danej chwili publiczności. Od kierownictwa teatralnego zależy ziarno to w dziele odszukać, wskazać słuchaczom i grą subtelną, wytworną lub jaskrawą tak uwydatnić, aby je dostrzeżono, zrozumiano i oceniono należycie. Operacya ta przy pewnych utworach jest łatwa, nie potrzeba im zatem poświęcać długiej pracy reżyserskiej; w innych (zwykle doskonalszych) jest



DANIEL ZGLIŃSKI.

o wiele trudniejsza, ale za to suto wynagradza się jeśli nie materyalnym to moralnym sukcesem, tak zwanym *honorem domu*, który znaczenie teatru podnosi. Reżyser wtedy musi zająć się komedią, czy dramatem — przedstawić się mającym — *con amore*; powinien całość dzieła uprzytomnić sobie w jego ogólnych zarysach i w stylu tej całości, przy pomocy artystów, rozumiejących jego informacye, wyrzeźbić szczegóły, tak aby one właśnie odsłoniły przed widzami zrab utworu i jego duszę. Nie potrzebujemy dodawać, że do bezwzględnie sumiennego spełnienia tego obowiązku przeszkadza poniekąd moda i skażone upodobania słuchaczy teatralnych, przerzucających się nagle i namiętnie — w danych środowiskach życia intelektualnego — od Sardou do Ibsena, od Augiera i Dumasa do Bissona, Valabregue'a i krotchwilistów niemieckich. Ale i na to jest rada. Nie należy gwałcić smaku publiczności, lecz wytrwale, pracowicie, inteligentnie, a *powoli* przetwarzać go i uszlachetniać. Experymenta takie łatwiejsze są do przeprowadzenia w Krakowie niż w jakimkolwiek innem mieście polskiem z ludnością obdarzoną żywszym od naszego temperamentem, lecz i tu trzeba je podjąć z dobrą wolą i znajomością rzeczy, nierażając się trudnościami i chwilowem niepowodzeniem.

Bardzo wybitną sztuką oryginalną z jaką stary teatr krakowski zapoznał nas w ostatnich czasach był dramat Daniela Zglińskiego »Jakób Warka«, zaszczytnie odznaczony na ostatnim konkursie warszawskim. Oto w jaki sposób Kazimierz Kaszewski, ceniony krytyk, omówił w sprawozdaniu konkursowym postacie poruszające jego akcją i nadające ponurej treści wyższe znaczenie. »Trzy naczelne charaktery: Warka, Józef, Schmidt, zwłaszcza bohater tytułowy, kreślone są w konturach wydatnych a nie przesadzonych, odcinają się od tła właściwościami indywidualnymi. Dalekie od wszelkiego szablonu, pomimo niektórych cech wspólnych osobom na scenie bywałym, zalecają się raczej oryginalnością, a ujęcie ich plastyczne nastrocza pożądaną dla aktorów materią ekspresyjną. Józef,



ROMAN ŻELAZOWSKI.

nie jest to właściwie charakter, o ile pod tem słowem rozumiemy w sztuce usposobienia normalne, rządzące swą wolą i czynami świadomie. Jest to raczej ruina charakteru, piękny ze wszech miar filar w budowie, spękany, pochylony i grożący upadkiem; im piękniejszy, tem cięższy budzący wyrzut przeciwko brutalnej sile, która go nadwyrężyła. Kiedy Józef szamocze się, kiedy w nim zahuczą żywioły destrukcji moralnej i fizycznej, tak, że on, dla uśmierzenia ich, sięga drżącą ręką po kieliszek alkoholu, aby po nim szaleć jeszcze bardziej, dopóki z ust jego nie wybiegnie przeciw ojcu przekleństwo, żal zdejmując za tym zmarnowanym kwiatem, i patrząc na niego, widzimy wciąż za nim ojca, stojącego w postaci uśmiechniętego oprawcy, który w wyrozumiałości dla siebie nie chce widzieć, że niszczy własne dobro i miłość własnego serca. Świat, w który wprowadza nas Warka, nie jest światem głuchym; przewodnik nasz to nie żaden bankier tytułarny, znany tylko z afisza, ale pospół z namietnościami człowieka gra w nim dusza fachowca, której głosowi towarzyszą chóry interesów: jest to na scenie iszcząca się pewna inicjacja w naturę i sprawy zawodu, bez wyraźnego zamiaru potępienia, bez słówka sądu subiektywnego, demaskująca wpływy bankierskiego klimatu na moralny organizm ludzki. Wpływ ten widocznie przede wszystkim na samym Warce, który w innym zawodzie możeby inny kierunek nadał swym namietnościom, bo jak sam powiada i jak syn jego potwierdza, budzą się w nim niekiedy pewne zasady, w latach chłopięcych wszczepione przez matkę i z krwią jego zmieszane: w innej sferze bytu zasady te możeby miały częstszą sposobność do ocknienia się, niż tam, gdzie główne źródło tryumfu polega na wydarciu drugim gotowego, cudzą ręką przygotowanego dobra. Z pod tego samego stępla co i Warka, Schmidt różni się od niego pewnymi cechami indywidualnymi. Młody, ze świeżym umysłem, z wrodzoną przenikliwością i zimną krwią, góruje nad doświadczeniem i popędlivością starego, aż w końcu wyprowadza go w pole i zwycięża. Zbyt młody, aby przybrać hasło egoizmu i chciwości mogło na nim przyschnąć i do szczytu naturę zniepewnić, miewa porywy szlachetne, natychmiast tłumione troską o osobiste korzyści. Stosunek jego do Józefa nie jest tak jasny, ażebyśmy mogli sobie z niego zdać dokładną sprawę, nie jest to jednak stosunek krzywdzący: przeciwnie,

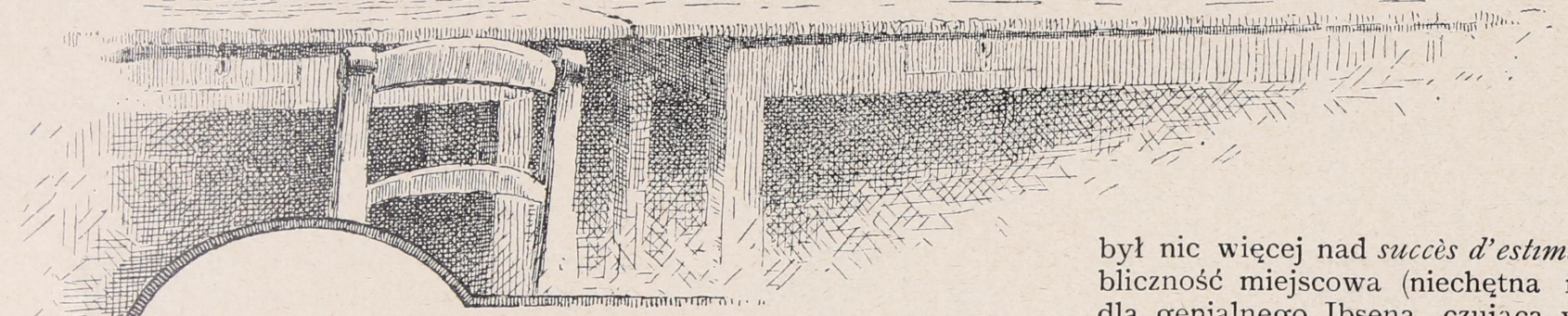
w tym tylko stosunku lepsze strony jego duszy wychodzą na jaw. Wpływy zawodu ukazują się nie tylko na przodownikach, lecz i na czeladzi. W tej maszynierii bankowej, którą tu dokładniej, niż ktobądź dotąd u nas odwzorowywa autor, występują też czynniki podrzędne, prości wykonawcy. Co oni wykonywają, do czego przykładają rękę, na co ich sumienie zdobywać się musi, aż smutno patrzeć, chociaż autor nie drapieżną ręką zrzuca zasłonę. Wcale też obrazowo wyglądają ci subalterni, jak Turkuł, a mianowicie Macierzanka, którego scenę ze Schmidtem do najlepszych zaliczyć można pomysłów. Mniej wybitną jest grupa Piotrowskich. Nie można jej zarzucić zupełnego braku życia, ale trudno wskazać coś coby na szczególną zasługiwało uwagę, czy to jako pomysł, czy jako wrażenie. Przeciwnie, znajdujemy tam scenę, wzruszającą wprawdzie, ale psychologicznie mocno ryzykowną, mianowicie, kiedy Ludwika po nagłej śmierci ojca, zamiast jak to zwykle w takich razach bywa, oddać się cichej boleści bezpośredniej nad stratą drogiej osoby, rozwodzi się w długim patosie, przerabiającym analitycznie przyczyny i następstwa, co może dziać się jedynie po przejściu pierwszych wstrząszeń ciosu, zdolnych wydawać, zwłaszcza u kobiet, tylko okrzyki, nie rozumowania. Wreszcie, oprócz Mierowej, która tu stanowi piąte koło u wozu, każda wprowadzona postać, tłumaczy dostatecznie rację swojego bytu na scenie, nawet dwaj przyjaciele Piotrowskiego, krótką chwilę występujący. Znaczna wszakże różnica zachodzi w sile ekspresyjnej charakterów na niekorzyść kobiet, którym brak tych delikatnych a tak charakterystycznych odcieni, znaczących na każdym kroku moralną właściwość płci. Pomijamy Mierową, która nie ma roli żadnej, i matkę Piotrowską, której zakres działania jest bardzo szczupły; ale Ludwikę, wysuniętą na przedni plan, mało widzimy uposażoną w to, co w kobiecie najbardziej uderzać powinno: w kobiecość; tak, że ta osoba żadnej atmosfery kobiecej koło siebie nie wytwarza.» Brak ten

— tak inteligentnie zaznaczony w wyrazach tu zacytowanych — sprawia, że »Jakób Warka«, utwór o myśli głębszej, o szerszym widnokręgu obserwacji, o opracowaniu stylowym, przerastającym poziom robot scenicznych z ostatniej doby — należytego, a nawet zasłużonego wrażenia wywołać nie może, bo cały tonie w morzu barw dla perspektywy teatralnej zbyt czarnych, monotonicznych i ponurych. Nie ma w nim światła przy cieniach; nie można się ich nawet domyślić za horyzontem, jaki



R. ŻELAZOWSKI W ROLI WILHELMA TELLA.

ramy jego obejmują. Sympatyczny i utalentowany autor, kierujący sam próbami, wiele usterek budowy i układu umiejętnie poprawił, opracowując je tu w Krakowie efektownie i scenicznie, a jednak nie zdo-



do wszelkiego zbyt ostro zamarkowanego pesymizmu) przeszła nad dramatem Daniela Zglińskiego do porządku dziennego, bez gniewu, walki i dyskusji. A bądź co bądź dzieło niepospolitej miary zasługiwało co najmniej na dyskusję.

Stały sprawozdawca *Świata* omawiał szerzej: dramat (nie bez śladów talentu) Żegoty Krzywdzica »Zdrowi i Pokaleczeniu«, wesołą krotkowiłę Ryszarda Ruszkowskiego »Już go mam!«, sprytnie zbudowaną komedię Michała Wołowskiego »Nasze anioły«, nieudaną satyrę sceniczną Zygmunta Przybylskiego »Wejście w świat«, miły obrazek Franciszka Domnika »Dzieci muzy«, efektowny melodramat niedzielny

Barbitona »Wernyhora«, nie potrzebujemy zatem rozpisywać się o tych utworach, zwłaszcza, że podzieliśmy niemal w zupełności zdanie, jakie wytrawny krytyk wypowiadał o nich w swoich recenzjach. »Księcia Henryka« Bronisława Grabowskiego nie poruszamy także, czytelnicy bowiem nasi zapoznają się z nim na kartach tego dwutygodnika, gdy obraz historyczny sumiennego badacza literatur słowiańskich i dramatopisarza — jak to redakcja w swoim czasie zapowiedziała — znajdzie na nich pomieszczenie w roku przyszłym. Tu tylko, wobec wymienionych powyżej tytułów, z szczerą przyjemnością zaznaczyć nam wypada istotną zasługę dawnej dyrekcji, która w jednym sezonie zgromadziła i wystawiła tak niezwykłą ilość sztuk oryginalnych, a te nie tylko, że zajęły intelligentną i wybredną publiczność krakowską, ale przyniosły przedsiębiorstwu znaczne korzyści materialne.

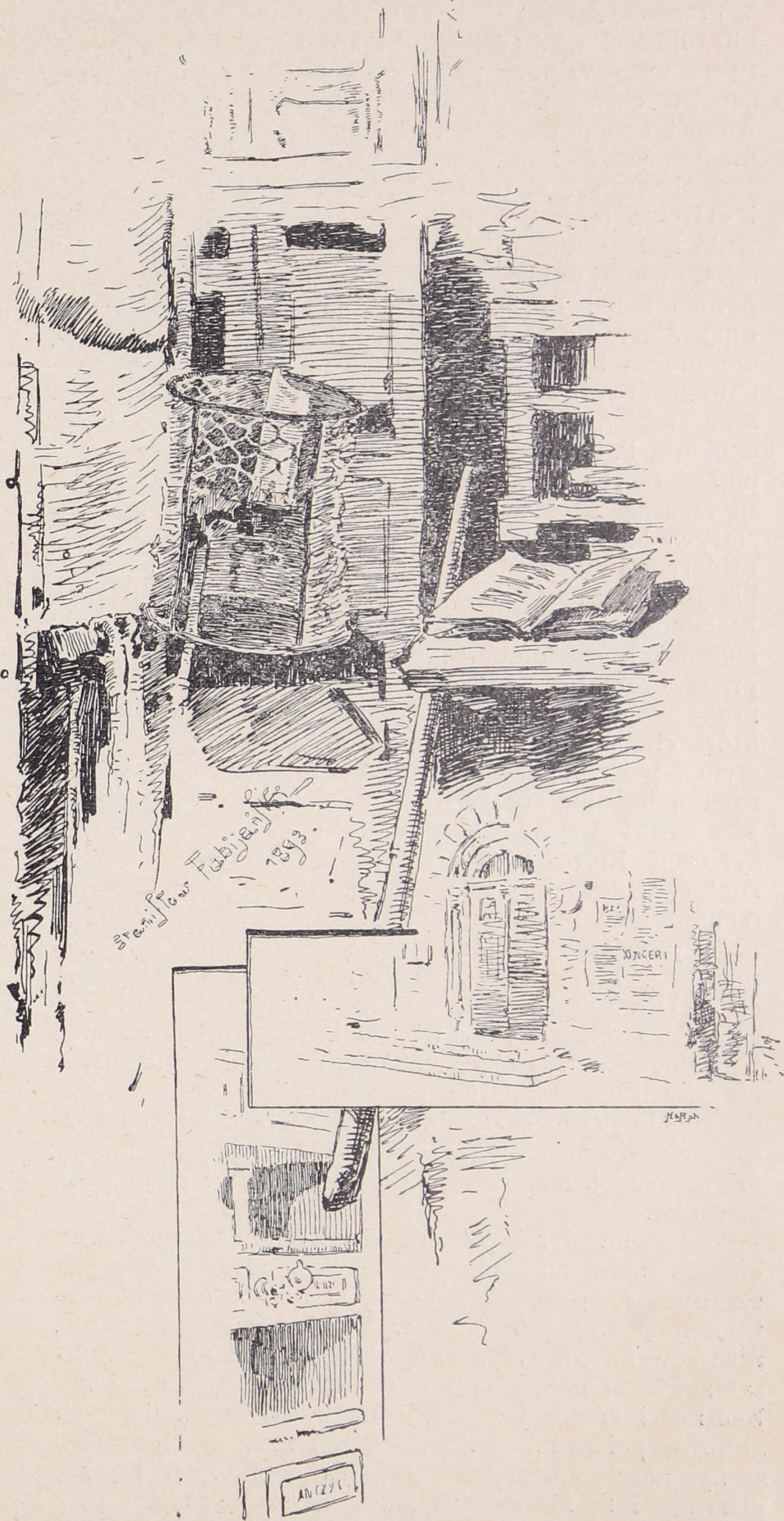
Najkorzystniejszym ze względów kasowych był »Flirt« Michała Bałuckiego, grany kilkanaście razy z rzędu i zawsze przepełniający teatralną

widownię liczną, rozbawioną publicznością, zajęta bardzo żywo jego treścią. Oto, jak wymieniony już wyżej krytyk, Kaszewski, ocenia ten utwór w sprawozdaniu konkursowym: »Zasługą autora, że zaobserwował i pierwszy



na widok publiczny wywiódł ten specjalny zepsucia towarzyskiego odcień (flirt), który lubo stary, jak świat, a u nas dobrze znany i razem z perukami francuskimi w ośmnastym wieku do wytwornych salonów wprowadzony, pod tą cudzoziemską nazwą dzisiejszą nabiera znaczenia nowości i prawa obywatelstwa, jak wreszcie wszystko złe i głupie, które gdziekolwiek zyska patent wynalazku. Zamiast się oburzać na to złe, autor, dostatnio uposażony w werwę komiczną, pragnie uśmieć się z niego i drugich rozśmieszyć. W tym celu spędza na scenę gromadę flirtowników i flirtownic, którzy, upodrzedniwszy wszystkie inne zajęcia życia, na pierwszym planie, zdaje się, postavili sobie oddawać się temu rozkosznemu drażnieniu, które dowcipnie określone, jako «przedmowa do romansu, co nigdy napisanym nie będzie», w istocie do rozwiązań mniej platonicznych wielce usposabia. Rwą się stosunki między żoną a mężem, między rodzicami a dziećmi, do życia wkraczają kłamstwa, fałsze, schadzki potajemne, głowa się chorobliwie rozmarza, nerwy rozstrajają, mnożą się sofizmaty dla wrzekomego uprawnienia tego, co się uprawia: a wszystko to tak jest urządzone, iżby pobudzało do śmiechu za jakąbądź cenę. Ażeby ten śmiech osiągnąć, autor ma na zawołanie dowcipne zestawienia sytuacji, dziwne kombinacje nieporozumień, zabawne *qui pro quo*, chwilami w dobrym gatunku, chwilami podejrzaney wartości koncepty, nareszcie i postrachy; tak, iż ostatecznie «flirt» wychodzi z rąk jego poterany i ośmieszony, jak ostatni szubrawiec. By sztukę swoją uczynić zabawną i wesołą, autor poświęcił wszystko, nawet oględność psychologiczną i prawdopodobieństwo powszednie. Jego ludzie, to nie ludzie przy zdrowych zmysłach, ale jacyś narwańcy nieporozumienia, którzy nawet z własnego honoru męskiego i mężowskiego nie zdają sobie sprawy i odczuć go nie umieją. Jeden mąż, dla ułatwienia sobie flirtu, zaklina towarzysza, aby mu tymczasem trochę pobałamucił żonę; drugi (i to pozujący na rozsądnego) przekonany, że mu doleciała żona zaszalała się w młodziu, «pokłada się» ze śmiechu, wołając z pustą wesołością: «nie głupiaż to bada!» Inny, młodzieniec dobrego towarzystwa (Murski), aby zmusić kobietę do dotrzymania na seryo tego, co zdradliwie obiecywała flirtem, grozi jej narzędziami śmierci, pistoletem, trucizną, oddaniem listu mężowi (gdzie jest człowiek światowy, jeśli nie podlec lub waryat, któryby z takiego arsenału broni przeciw kobiecie używał?) Wogóle postać Murskiego jest do pewnego stopnia zagadkowa, przedstawiającą może umyślnie człowieka zboczonego, który też wywołuje scenę gwałtowności, poważną, niemal tragiczną, wcale przydatną do dramatu, gdzie wprowadzenie dzieci bezświadomie ratujących matkę przed katastrofą sprawia rzewne wrażenie, — ale scenę w tę orgię pustoty wpadającą, jak śnieg w czerwcu, tak, że im ona piękniejszą jest i tragiczniejszą sama w sobie, tem mniej usprawiedliwiony tworzy odskok od całości, której motyw główny takiego seryo tragicznego epizodu w ścisłej konsekwencji nie znosi». Zdanie to wydaje się nam surowem... za surowem nawet, «Flirt» bowiem jest sztuką pod względem technicznym bardzo dobrze zrobioną, o sytuacjach niezmiernie zręcznie pomyślanych, udatnie połączonych i wybornie rozwiniętych, o dowcipie żywym, świeżym, iskrzącym się nowymi konceptami. Samo olbrzymie powodzenie, jakim się cieszy na wszystkich scenach polskich, dowodzi, że posiadać musi zalety, jedające mu sympaty słuchaczy. Gra artystów warszawskich — wprawdzie

utalentowanych, ale od pewnego czasu z upodobaniem przesadzających wszelką krotocwilność do granic niemożliwych — wprowadziła w błąd nawet doświadczonego krytyka. Wśród szalonej werwy komicznej, z jaką wykonywali oni sztukę Bałuckiego, kulminacyjna sce-



na — bardzo piękna, ale niemal tragiczna — wyszła zbyt jaskrawo i oderwała się od całości, psując przez to architekturę utworu. U nas artystki i artyści sceny krakowskiej traktowali «Flirt» w charakterze i stylu takim, w jakim go autor nakreślił, to jest jako komedię — bardzo wesołą — ale komedię, wcale nie farsę. W podobnej grze — a dodać należy, że była to gra wyborna, za-szczyt przynosząca paniom: Siennickiej, Wojnowskiej,

Trapszównie, oraz panom: Rygierowi, Siemaszce, Ruszkowskiemu, Wernerowi, Sobiesławowi, Solskiemu, i innym — najnowszy utwór Michała Bałuckiego zupełnie słusznie podobał się publiczności i zdobył sukces pierwszorzędny, jakiego od «Grubych ryb» nie pamiętamy. Dlatego też Kazimierz Kaszewski, sądzący o sztuce z przedstawienia, a przykładający do utworu miarę ultra-literacką, uwiedziony fałszywym kolorytem wytworzonym w niej przez *szarżujących* aktorów, zbyt surowo ocenił tak kompozycję jak i typy, narysowane i namalowane z właściwą utalentowanemu komedyopisarzowi brawurą sceniczną.

Dwie sztuki p. Stanisława Graybnera «Fredzio» i «Hrabia Jerzy», wykonane w teatrze naszym poprawnie i starannie, doznały przychylnego przyjęcia ze strony naszej publiczności. Po jego «Słodkiej truciźnie», bardzo lichej farsie, i «Niedojechali», niezmiernie nudnej *bluette* o stylu ciężkim, bezbarwnym, suchym, nie można było spodziewać się tak rychło po młodym autorze utworów równie, jak pierwszej wymienione, zgrabnie zrobionych i posiadających warunki kinkietowego istnienia. P. Graybner oryginalnym nie jest, ale w swych najświeższych kreacjach dramatycznych wykazał niezaprzeczną zdolność układania nienowych i łączenia starych lecz efektownych pomysłów teatralnych w całość ruchliwą, sceniczną, zajmującą. Szczególnie «Hrabia Jerzy» zasługuje na wyróżnienie. Uważny i wykształcony słuchacz dostrzeże w nim — prócz zręcznej techniki konstrukcyjnej, zdobytej niezmiernie szybko przez dramaturga dzięki godnej uznania wytrwałej pracy — tu i owdzie nawet odbłyśki zalet literackich, które chociaż nie wznoszą się do szlachetnych wyżyn stylu i poezji, pozwalają jednak rokować p. Graybnerowi pomyślną przyszłość w twórczości sceniczej. Jest to już dziś siła bardzo dla teatru polskiego pożyteczna, którą właściwie zużytkować należy w kierunku widowisk świątecznych i okolicznościowych, o charakterze melodramatycznym, najbardziej dla zdolności jego właściwym. — Nader mało mamy melodramatów w literaturze polskiej, a znaczna część publiczności krakowskiej łaknie ich i *istotnie* potrzebuje. Autor «Fredzia» przy wskazówkach inteligentnej dyrekcyi teatralnej, zamawiającej u niego sztuki o tematach etycznych lub popularnie narodowych — mógłby pisać doskonale *pièces à succès*, pojmując on bowiem i udanie wyzyskać umie efektowność sytuacyjną kanwy dramatycznej, stanowiącej główną wartość podobnych utworów.

Dawna dyrekcyja starego krakowskiego teatru chętnie sprowadzała wybitniejszych artystów dramatycznych na gościnne występy. I tak, w sezonie ostatnim mogliśmy podziwiać wykończoną w szczegółach, mistrzowską grę *Wincentego Rapackiego*, który należał zawsze i należy ciągle do ulubieńców naszej publiczności, ceniącej w nim jednego z najgenialniejszych aktorów polskich. — *Roman Żelazowski*, wychowaniec sceny naszej, który tu niegdyś debiutował po raz pierwszy i tu niezmiernie pięknie i szybko talent swój rozwijał, występował kilkanaście razy w najcenniejszych kreacjach swoich z repertuaru klasycznego, tudzież w komediach Józefa Blizińskiego. Artysta to poważny, refleksyjny, sumiennie pracujący, głęboko zastanawiający się nad każdą rolą i opracowujący ją oryginalnie, bez cienia naśladownictwa. Można niekiedy nie godzić się na jego pojęcie, przyznać jednak zawsze należy, że w przeprowadzeniu i uwydatnieniu swego pojęcia jest od *a* do *z* konsekwentnym. Domi-

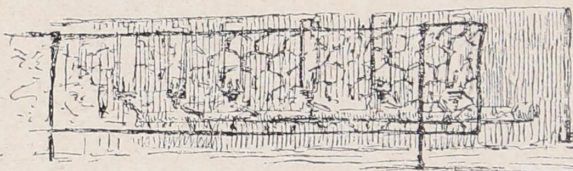
nującem znamieniem gry Żelazowskiego *w tragedyi*, jest poetyczna, polska, słowiańska rzewność i tęsknota; a ile razy charakter przedstawiany jednoczy się w harmonijnym nastroju z tą nutą główną jego głosu i manieri, tyle razy kreacya lwowskiego artysty jest istotnie bardzo piękną i szlachetną. Nie brak mu siły, przeważnie skoncentrowanej, wewnętrznej; włada on doskonale różnostronnymi środkami techniki aktorskiej; umie obserwować i twórczość swoją opiera na gruncie realistycznym, łącząc go ładnie i umiejętnie z podniosłością i patosem poetycznym, wolnym od przesady i nadmiaru deklamacyjności. Ale — prawdziwy znawca teatru, uważnie grę jego badający, wtedy dopiero odczuwa, że wielce utalentowany artysta nurza się z zadowoleniem w właściwym sobie żywiole, ile razy sztuka pozwala mu być tklwym, czułym, tęsknym, (bez zbytniego liryzmu), gdyż — jak to powiedzieliśmy już wyżej — rzewność stanowi główne tło jego natury artystycznej. Nią jedna sobie serca wzruszonych słuchaczy, nią zdobywa ich uznanie i gorące sympatye. Lecz i rzewność nawet w wykonaniu jego ustępuje miejsca prawdzie charakterystycznej — to wyrażonej lekko i z werwą młodzieńczą, to z niepospolitem pogłębieniem każdego, chociażby najdrobniejszego rysu psycho-fizyologicznego — ile razy Żelazowski gra *w komedyi*. Wtedy przedstawia się nam on jako aktor zupełnie nowoczesny, rachujący się z każdym najdelikatniejszym odcieniem myśli autora. Wówczas indywidualność jego znika zupełnie, a inteligentny widz spostrzega przed sobą tylko człowieka, jakim go stworzył komedyopisarz — człowieka złożonego z krwi i nerwów, urobionego wyobrażeniami danej sfery, czasu i otoczenia, dyszącego myślami i pojęciami, jakie zaczerpnął z życia lub książki. Ten dar wyłamania się z więzów rutyny teatralnej, pominięcia środków choćby najefektowniejszych dla prawdy, pojętej estetycznie, i wcielenia się w postać szczerze realną, czyni z Żelazowskiego artystę w całym dodatnim znaczeniu tego wyrazu, który na każdej scenie zająć musi pierwszorzędne, jaśniejsze stanowisko. Występy jego tegoroczne w teatrze krakowskim były seryą zasłużonych tryumfów.

Po raz pierwszy w Krakowie występowała — w maju i w czerwcu r. b. — panna *Irena Trapszówna*, artystka Teatru Rozmaitości w Warszawie, siostra rodzona naszej «pierwszej naiwnej». Gra młodej aktorki posiada dużo rutyny, a rutyna ta pozwala jej pokonywać mniej więcej udanie lub szczęśliwie trudności, przerastające nawet czasem poziom jej talentu. Na wielkiej, pierwszorzędnej scenie musi być ona niezawodnie bardzo użyteczną i prawdopodobnie dopełnia nader korzystnie wyborowy *ensemble* warszawskiego dramatycznego personalu. Posiada wymowę jasną, czystą; głos jej mile dźwięczy, w niższych tonach szczególnie. — Pani *Felicja Grekowa-Stachowicz*, w seryi ról lirycznych i dramatycznych przypominała się także w sezonie ostatnim publiczności krakowskiej, której ulubienicą była zasłużenie i długo, za czasów dyrekcyi Stanisława Koźmiana. Pani Stachowicz z pięknej i utalentowanej dziewczeczki, stała się obecnie piękną kobietą i utalentowaną artystką. Porzuciwszy role naiwne weszła zwycięzko w repertuar poważny. Pracuje w nim z godną uznania starannością i szczerem zapalem. Role konwersacyjne, oraz uczuciowe, o delikatnym odcieniu charakterystycznym — nie wykluczającym młodości i urody, a wymagającym werwy lub nerwowości — posiadają w niej reprezentantkę

bardzo interesującą i dystygowaną, a czar, jaki na scenie roztacza, jedna jej życzliwość tak wykwińskiej, jak też i najszerzej publiczności.

Dopłynęliśmy nareszcie do końca naszego długiego sprawozdania, o tyle może interesującego, o ile je illustrował ołówek utalentowanego rysownika ¹⁾. Na-

¹⁾ Illustracje te wyobrażają z kolei: gmach teatru starego z zewnątrz, z słynną dobudową drewnianą, zwaną ironicznie przez Krakowian »mostem westchnień«, tudzież wejście główne, przy kasie; portret Stanisława Koźmiana, oraz wizerunki pp. Jakóba Gliksona i Mieczysława Sachorowskiego; portret Daniela Zglińskiego, autora dramatu »Jakób Warka«; lampkę zawieszoną przy murze zewnętrznym, bliskim *ponte dei sospiri*; portret p. Romana Żelazowskiego (główna) i tegoż artysty wizerunek w kostiumie Wilhelma Tella; garderobę mężką z karykaturami narysowanymi na ścianie przez p. Sobiesława (Bystrzyńskiego) artystę dramatycznego teatru krakowskiego, tudzież schody wiodące do tejże garderoby i wejście na scenę; zakulisowy kącik inspierycy (p. Bronisława Janikowskiego), drzwi od placu Szczepańskiego, oraz łożo prosceniowe. Wreszcie kończy ten cykl dokumentów z natury, jeden rząd kinkietów.



KONIEC MORSTINA.

STUDYUM HISTORYCZNE Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Z pobytem Morstina w Paryżu łączą się zasadniczej doniosłości wypadki: w rozluźnionym po śmierci Maryi Gonzagi obozie francuskich partyzantów zapanała niedwuznaczna ruchliwość i spoistość. Już z początkiem roku 1680 de Béthune gorączkowo gromadził wersalskich pensjonarzy i jako kardynałny program działania nakreślił im zwalczanie wzrastających skłonności Sobieskiego dla ligi i tamowanie wydobywających się szczelinami zamku królewskiego austriackich wpływów ¹⁾. Jakżeż pan de Pomponne i następca jego w urzędzie Colbert markiz de Croissy, mając w Paryżu na zawołanie jednego z najcelniejszych przewódców antihabsburskiej ruchawki z epoki Michała, wplątanego jurgieltem, poddaństwem, przysięgą wierności i kupnem olbrzymiej feudalnej fortuny w sieć zależności od Francji, nie skorzystaliby z tak dogodnej sposobności w chwili pod względem politycznym bardzo poważnej, aby wracającemu do ojczyzny Morstinowi nie zlecić kierownictwa nad francuskim stronnictwem i zjednać go zupełnie dla swoich zamiarów? Istotnie podskarbi przybywszy jakoś szczęśliwie do Warszawy w październiku, zawarł z świeżymi ambasadorami Forbin Jansonem obecnie biskupem de Beauvais czyli belowaceńskim i markizem de Vitry coś w rodzaju tryumwiratu. Obaj nowi pełnomocnicy francuscy mieli zachwiany system polityki Ludwika w Rzeczypospolitej dźwignąć, szczególnie Janson Forbin przez przypominanie Sobieskiemu usług, jakich mu w czasie elekcji udzielił ²⁾. Z jakichkolwiek powodów zmieniono ambasadę, czy rzeczywiście za namową Morstina, czy w spodziewaniu czegoś nadzwyczajnego po biskupie belowaceńskim, czy wskutek

kreśliliśmy je z stanowczym umiarkowaniem i zupełną bezstronnością, nieodzowną w rzeczach sztuki. Oddaliśmy ostatniej dyrekcyi pochwały, o ile one słusznie jej należały; dotknęliśmy także pewnych braków, wpływających z niezależnych od jej woli okoliczności lub z zaciemnionego powodzeniem pierwotnego programu, który w czasie lat siedmiu, to i owo pozostawiał niekiedy do życzenia, zwłaszcza wobec wspomnień świetnej przeszłości sceny krakowskiej. Teraz nie pozostaje nam nic więcej, jak wyrazić nadzieję, że nowe kierownictwo, w nowym teatrze — przy środkach technicznych o wiele piękniejszych i doskonalszych od tych, jakimi rozporządzał teatr stary — podniesie poziom literacki i artystyczny sceny naszej, czego się po nim spodziewamy i czego mu szczerze życzymy, gotowi popierać naszym wpływem wszelkie jego inteligentne i dodatnie usiłowania, o ile mieć będą na celu rozwój dramatycznej literatury rodzimej i dobro teatru polskiego.

BOGUSŁAW ROZWADOWSKI.

podejrzenia, że de Béthune spowinowacony z domem królewskim pewne rzeczy zatajał lub w fałszywym przedstawiał oświeceniu, niestosowną nad wyraz wybrano chwilę, w przededniu niemal sejmu, gdy rezydent cesarski uwijał się wśród licznych przyjaciół, a reprezentanci Ludwika musieli dopiero odświeżać znajomość ze starymi zwolennikami Francji i rozglądać się za nowymi ¹⁾. Instrukcja dozwalała ambasadorom ofiarować dyplom książęcy najstarszemu synowi Maryi Kazimiry, przyrzec królowi umorzenie pretensyj do kwot na rzecz Szwecji przezeń niegdyś wyłożonych, odsłonić przed nim artykuł tajnego traktatu zawartego 25 października 1679 roku między kurfirstem a Ludwikiem ²⁾, wreszcie upoważniała ich do zorganizowania silnej falky, któraby Sobieskiemu pomagała w razie gdyby sprzyjał Francji, lub przeszła w opozycję gdyby dopuścił się dalszego odszczepieństwa ³⁾. De Vitry i Janson, w myśl instrukcyi pukali do drzwi dworu, ale ich wszystkie obietnice przechodziły mimo uszu króla, dostrzegli oni niebawem jak Jan z pomocą nuncjusza Martelli'ego i rezydenta Zie-

¹⁾ Nabelak: Listy Piotra des Noyers. I. c. str. 36, 37.

²⁾ Moerner: Kurbrandenburgs Staatsverträge. Anhang 5. str. 704. Ze wszechmiar charakterystyczny ten traktat miał głównie na celu zapewnić głos kurfirsta Fryderyka Wilhelma przy najbliższej elekcji na korzyść wyboru Ludwika lub Delfina królem rzymskim, ewentualnie zmierzał do przeszkodzenia zwołania kolegium elektorskiego, gdyby cesarz starał się dla syna o tę godność. Dziewiątym artykułem tego traktatu zobowiązywano się na każdy sposób utrzymać spokój i bezpieczeństwo Polski i łącznie działać w celu przeprowadzenia wyboru królewicza Jakóba, jeżeliby się to ojcowi jeszcze za życia nie powiodło. W razie napotkania nieprzewidywanych przeszkód w wyniesieniu na tron syna Sobieskiego, elektor miał popierać kandydata Francji. Sprzymierzeni mieli użyć do wykonania powyższego paragrafu »tous leurs soins«.

³⁾ A. h. P. T. VII. Instrukcy. I. c.

¹⁾ Tamże. T. V. str. 395.

²⁾ Tamże. T. VII. str. I—8. Instrukcy.

rowsky'ego starał się »do jednego akordu nastroić moc piszczałek«. Nie odniosły żadnego skutku nowe przyrzeczenia z Wersalu nadesłane, nie pomógł nic projekt ścisłego przymierza, ani ustępstwo w sprawie książęcego tytułu bez weryfikacji wszakże dla markiza d'Arquien, pieniądze nawet straciły urok... Sobieski wykręcał się jak umiał, a już publiczną było tajemnicą, że dwór zawichrzył szesnaście sejmików, aby zagrozić wrogom habsburskiej polityki drogę do sejmu¹⁾. Ambasadorowie uczuli wobec podobnego usposobienia bezradność, im i ich poplecnikom nic nie zostawało ponad wypełnienie ostatniego punktu instrukcji w najostrzejszej formie, *to jest zerwanie sejmu*²⁾.

Dnia czternastego stycznia zagajono sejm pod łaską Lubomirskiego wielkiego chorążego koronnego. Z powodu tego krążyły po bruku wieści, że królowa mszcząc się na Morstinie za odmowę ręki posażnej podskarbianki bratu jej hrabiemu Maligny — jeszcze bardziej niż poprzednio przeciw niemu podburzała szlachtę; głosy przeczące mu wstępu do senatu jako poddanemu obcego państwa były coraz częstsze³⁾. Po ulicy w ulotnych pisemkach kursowały rejestra grzechów Morstina, posypane w sutej dawce atycką solą. Zarzucano mu defraudacye, ograbienie skarbu koronnego za Michała, nagromadzenie olbrzymich kapitałów w bankach hamburskich i weneckich, zdzierstwa przy wypłacie żołdu, domagano się zgotowania mu podobnego losu, jak we Francji zgotowano generalnemu intendentowi finansów Fouquet'owi. Utrzymywano, że ratowanie zdrowia było pozorem pokrywającym wyjazd dla ubiegania się o indygenat francuski, że zmarował ambasadę paryską ośmieszając przedsięwzięcia króla Jana i odradzając posilków, że kupił sekretaryat dla mieszanina się do zakulisowych intryg w monarchii Ludwika. Nie tak dawno za cyfrowane sekreta wynoszone z gabinetu królewskiego pobierał od francuskiego rządu pięć tysięcy twardych talarów, od elektora tysiąc. Kupiwszy dobra w okolicach Paryża dziwnie zmienił nazwisko rodowe tytułując się »monsieur de Martis, comte de Château-Vilain, baron de Monterouge, secrétaire du roi très chrétien et de la couronne de France!⁴⁾ Sporó było w tych pisemkach frazeologii, sporo historii jakby z bajki o żelaznym wilku, ukrywającej jednak takie ziarno prawdy, jakie bajka alegorycznie zawierać zwykła: sens moralny. Ostatni kwit wydany Morstinowi na sejmie grodzieńskim poświadczał, że się prawidłowo z zarządu skarbu wyrachował⁵⁾; z kądże zatem płynęły ustawiczne skargi na defraudacye? Wprawdzie Morstin odziedziczył po bracie Tobiaszu, wielkim łowczym koronnym, jako uniwersalny spadkobierca znaczną spuściznę w dobrach nieruchomych i gotowiznie 76.802 florenów, nadto klejnoty, złoto, karęty, stadniny⁶⁾, niezależnie wszakże od tego majątku milionową rozporządzał fortuną, musiał zatem w sposób anormalny zebrać pieniądze. Zagadkę zawiłą niby labirynt łatwo rozwidnić, używając jako nici Aryadny pytania, czem była istota skarbu i podskarbach w Rzeczypospolitej?

¹⁾ Tamże. str. 74, 79.

²⁾ Tamże. str. 71.

³⁾ A. h. P. T. VII. str. 34. sg. — str. 20. sg.

⁴⁾ Archiwum XX. Czartoryskich. — Vol. 419. rkp. a) »ad punctum abusus podskarbstwa koronnego...« b) »ad punctum abusus functiey poselskiej« etc.

⁵⁾ Volumina legum. T. V. str. 554. »kwit podskarbiemu koronnemu«.

⁶⁾ Wójcicki: Biblioteka starożytna pisarzy polskich. T. V. str. 115. »Testament Tobiasza Morstina«.

Podskarbiowie byli najwyższymi stróżami insygniów królewskich, zarządzali dochodami i wydatkami państwa, sprawowali naczelny nadzór nad mennicą jako »supremi rei monetariae prefecti«, administrowali wszelkimi wakansami i dobrami stołowemi w czasie bezkrólewia¹⁾. Gogność ta na rozległych oparta atrybucjach była na wzór innych polskich ministerstw niepłatną jedynie pozornie, albowiem podskarbiowie przy kontraktach pobierali od stron wynagrodzenie w formie »rękawicznego« i »workowego«, mieli oprócz tego różne ustawą uświęcone źródła dochodów²⁾. Prawo przysposabiało dogodny grunt dla rozwoju anarchii, samo zachęcało niepłatnych administratorów skarbu do targów o procenta dla siebie przy zawieraniu interesów, a targi te w ramach powszechnego nieładu wyszły poza obręb legalny i przekształciły się w twardy do zgryzienia orzech dla ludności. Podskarbiowie przyzwyczaili się nakładać meklerski okup; kto więcej ofiarował »rękawicznego«, nie zaś kto dawał znaczniejsze dzierżawne, brał dobra lub mennicę; wyrobiło się wzajemne podbijanie, przelicytowywanie i jawne lichwiarstwo. Wobec braku kontroli i sprężystości nadużycia bezpiecznie się rozwijały. Niekiedy odezwał się protest przeciw podobnej gospodarce, ale równocześnie ogłuszały go krzyki pensjonarzy skarbowych, choć w oczy miotano im szyderstwem: kto za żydami mówi, już wziął, kto przeciw żydom, chce wziąć!... Dowcipne krążyły anegdoty o tych szalbierstwach, ponuro ilustrujące prawdę. Znana była historia o Bogusławie Leszczyńskim, który starając się o kwit sejmowy na poświadczenie rachunków ujął całą niemal izbę brzęczącym podarkiem i gdy przystąpił do odczytania go, wszyscy wrzasnęli: zgoda! Po uciszeniu się jakiś śmialek odparł: nie masz zgody! i skrył się coprędzej. Leszczyński mając podobno w ręku wykaz gratyfikacji odciął się natychmiast: a który to tam brat com mu nie dał? Ów poseł gdzieś przepadł, bo łapówkę otrzymał³⁾. Miały się wydarzać wypadki, że w rachunkach w dziale rozchodów umieszczano za kałamarz sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt tysięcy złotych polskich!⁴⁾ Zgraja niepłatnych urzędników wieszająca się przy skarbie zasłaniała się przysłowiem: »qui altari servit ex altari vivit«, ograbianie skarbu uważano za »grzech duchowny«, nadający się wyłącznie do spowiedzi, za grzech nie przynoszący przed światem żadnego sromu! Tego rodzaju cynizm milczeniem przyjmowało społeczeństwo; tak na pierwszym sejmie za Jana Kazimierza wysłuchiwało obojętnie jak się chwalił podskarbi, że gdy nie można uzbierać 300.000 złotych na potrzeby dworu, on sam z publicznych dochodów pobierał więcej niż czterysta tysięcy⁵⁾. Niedaleki świadek tej epoki Jan Stanisław Jabłonowski obliczył intratę roczną podskarbach na pięćset tysięcy złotych polskich⁶⁾. W końcu nie potrafiła szlachta udźwignąć ciężaru bezprawia i w myśli usunięcia złego naznaczyła w roku 1736 sto dwadzieścia tysięcy florenów salaryum dla Moszyńskiego, ale po Moszyńskim powrócono do dawnego systemu, do dawnej anarchii⁷⁾.

¹⁾ Lengnich: Ius publicum regni Poloni. T. II. str. 195, 206.

²⁾ Tamże. str. 208.

³⁾ Jabłonowski Jan Stanisław: »Skrupuł bez skrupułu w Polsce«. Wyd. r. 1730. str. 28.

⁴⁾ Tamże. str. 30.

⁵⁾ Rudawski: Historia. T. I. str. 108.

⁶⁾ Jabłonowski J. S. l. c. str. 33.

⁷⁾ Lengnich: Ius publicum. str. 202, 203.

E. FOULD.



ŚMIECIARKA.

Zapewne Morstin naśladował swoich poprzedników, nie wykonywał rzemiosła ani surowiej może ani łagodniej niż oni i niewątpliwie czystym na zawsze pozostałby w opinii społeczeństwa, gdyby ten sam tłum demagogów, który w odmiennych okolicznościach oglądał obojętnie identyczne zjawisko i tylko za »błąd duchowny« je poczytywał, nie uznał obecnie za właściwe w celach polityki stronnicej urobić z niego drażliwej prowokacji. Morstin milczeniem nie przyjął obelg, odpowiedział natychmiast. W obronie odpierał zarzut jakoby przeszedł w poddaństwo arcychrześcijańskiego Ludwika; nie przeszedł w poddaństwo tylko w »obligacyą feudalną«, zwykłe wasalstwo, a stosunek taki musi być pochlebnym dla Polaka, albowiem lennikami francuskich monarchów bywali już: cesarz, król hiszpański, austriaccy książęta, burgundzcy hrabiowie. Odwoływał się także w sposób porównawczy do rozmaitych wypadków, w których obywatele Rzeczypospolitej składali przysięgę obcym panującym z powodu zakupna w ich krajach obszarów ziemskich, przytaczał szereg przykładów ze zwyczajów zagranicznych, w końcu odsyłał zwracane do niego zarzuty o wywiezienie z kraju pieniędzy do tych, co w Rzymie na freskady łożyli wielkie sumy lub w Wenecyi na karnawałowe zabawy¹⁾. Apologia, w ca-

¹⁾ Archiwum XX. Czartoryskich. rkp. Vol. nr. 419. »Puncta

(Ciąg dalszy nastąpi).

łości dosyć powierzchowna, bardzo roztropnie opierała się na analogii, gdyż od XVI wieku nabywanie dóbr w cudzych terytoryach stało się rodzajem manii i wyrazem postępowego prądu między bogatą szlachtą. Co najdziwniejsze, że w obronie milczeniem pominął Morstin sprawę sekretaryatu, jakby nikogo nie oburzyła ta godność, chociaż i w tym kierunku nietrudno było wyszukać antecedenecy w odmiennym troszkę stylu. Panowie polscy nie rzadko odprawiali pielgrzymki zwłaszcza do Wiednia po złote runo zaszczytnych odznaczeń; po każdej prawie ambasadzie przywozili klucz szambelański, hrabiowską koronę lub książęcą mitrę do domu i zniewoleni ustawodawstwem zamykali dyplomy w skrzyni, aby ich znowu w czasie wyjazdu z Rzeczypospolitej z niej dobyć. Pamiętano dobrze jak wojewoda sieradzki Denhof, wyprawiony po Cecylię Renatę wrócił hrabią; w świeżym wspomnieniu tkwiły książęce dekoracje Bogusława Leszczyńskiego, Ossolińskiego, Lubomirskiego, natomiast z sekretaryatem dotychczas się nie spotkano; była to nieznana moda, tytuł świeży, dlatego dużo krwi szlachcie napsuł.

iustificationis I. P. podsk. w. k. — Obrona ta znajduje się też w tece Naruszewicza. nr. 178. pod zmienionym tytułem »Apologia od J. P. Morstina podsk. w. k. r. 1681. sparsa.«

ERNEST DEICHES.

ELVIRO MICHAŁ ANDRIOLLI.

Sztuka nasza, szczególnie w dziale ilustracyjnym, niepowetowaną stratę poniosła: jeden z jej najprzedniejszych przedstawicieli, prawdziwy mistrz ołówka, ilustrator-poeta, dnia 23 sierpnia w Nałęczowie życie zakończył. Komuż w kołach intelligencji naszej obcem było to imię, które, począwszy od rozkwitu czasopism naszych obrazkowych, przez cały okres ich rozwoju najświetniejszego, ukazywało się na ich kartach, ledwie, że nie w każdym numerze. Kogóż więc dzisiaj nie zasmuci wiadomość, że twórca tych prześlicznych obrazków już nie żyje, a zgasł nam w sile wieku, w pełni talentu!

E. M. Andriolli urodził się w r. 1837-ym w Wilnie, z ojca Włocha, i matki Polki. Ukończywszy nauki gimnazjalne w mieście rodzinnem, wstąpił, za przykładem starszego brata, do Akademii medycznej w Moskwie; ale natura jego artystyczna wkrótce go pociągnęła na inną drogę; pożegnawszy studia lekarskie, przeniósł się do moskiewskiej szkoły sztuk pięknych, a po wyjściu z niej w r. 1857-ym egzamin ostateczny zdał w Akademii sztuk pięknych w Petersburgu. Za powrotem do Wilna, gdzie naówczas Wilczyński swoje »Album« wydawał, do którego Antoni Zaleski dostarczał mu scen prześlicznych z »Pamiętników Paska«, — Andriolli, pod wpływem ducha czasu i otoczenia, zaczął też zbierać materiały do własnego »Albumu« i przez lat parę odbywając wycieczki artystyczne po różnych okolicach, skrzętnie gromadził w swojej tece widoki malowniczych lub historycznych miejscowości. Zbiór ten cenny, przed kilkoma laty, stał się pastwą pożaru w Brzegach. Następnie, udawszy się do Rzymu, przez pewien czas odbywał studia w Akademii św. Łukasza, a uzupełnił je w Paryżu. Po czym powróciwszy do kraju, nie mógł się w nim długo osiedzieć. Bujna, energiczna, chciwa

wrażeń jego natura wyrwała go z pod dachu rodzinnego i pchnęła w świat szeroki na przygody awanturnicze, z którychby całą Odyseję można ułożyć. Gdzie on nie był, czego nie zaznał! Szwecya, Anglia, Francya, Hiszpania, Włochy, Turcya, Rumunia po kolei dostarczały mu wrażeń artystycznych, które wszakże drogo opłacać musiał, nie pieniędzmi — bo tych mu brakło — ale ciężkim trudem, a nawet głodem. W wędrówkach tych najdłuższy miał przystanek w Londynie, a następnie w Paryżu, gdzie się też pierwsze próby jego ilustracyjne ukazały.

Powróciwszy¹⁾ w strony rodzinne, znów je po niejakiem czasie opuścił, a zwiedziwszy wschodnie gubernie w Rosyi, w r. 1871-ym zajął nareszcie do Warszawy. Była to właśnie epoka najświetniejszego rozwoju *Tygodnika ilustrowanego* i *Kłosów*, w których rej wodzili naówczas: Gerson, Kossak, Kostrzewski, Antoni Zaleski i inni; Andriolli więc, ujrzał się w swoim żywiole.

Przybysz nieznany, wobec rozgłosnych sił miejscowych, zdawałoby się, że powinien był długo walczyć dla zdobycia sobie uznania; a tymczasem zupełnie się inaczej stało, gdyż odrazu, od pierwszych dwóch — trzech ilustracji, już ogólną ściągął na się uwagę, zjednał sobie miejsce zaszczytne w gronie starszych kolegów, a wkrótce stał się ulubieńcem wszystkich czytelników pism obrazkowych. Bo też śliczne to były rzeczy te jego ilustracje! Czy to sceny z życia dworu wiejskiego, czy typy staroświeckie, czy

¹⁾ Były to czasy przed powstaniem. Skoro to wybuchło Andriolli zaciągnął się do zbrojnych szeregów. Wzięty do niewoli w jednej bitwie, wysłany został na Sybir. W 1871 wrócił z wygnania. — Portret znakomitego artysty damy w jednym z następnych zeszytów *Świata*. (Przypisek redakcyi).

obrazki humorystyczne, czy uroczystości i obrządki doroczne, czy uplastycznione kreacje poetów i powieściopisarzy — wszystko to z taką prawdą żywotną, a zarazem z takim urokiem poetycznym odtwarzał, a wszystkiemu nadawał tak wybitną, oryginalną cechę swojego talentu, że poznawano go po niej bez podpisu i serdecznie witano. Ile się tego przewinęło przez *Tygodnik Ilustrowany*, *Wieniec*, *Kłosy*, *Biesiadę Literacką*, *Tygodnik Powszechny* i *Świat*, któż to zliczyć potrafi! A jednak godziłoby się zaiste, aby ktoś sobie ten trud zadał; bo jeśli niepodobna o tem pomyśleć, żeby to wszystko wydać w jednym zbiorze, któryby starczył twórcy swojemu za najpiękniejszy pomnik, to wartoby przynajmniej w spisie ogólnym przekazać prace jego ludzkiej pamięci. Ale czyż na tem koniec? czyż podobna zamilczeć o powieściach i poematach przez Andriollego ilustrowanych? O takich np. rzeczach, jak »Marya« Malczewskiego, »Pamiętniki kwatermistrza« Chodźki, »Dęboróg« Syrokomli, »Pan Tadeusz« Mickiewicza, »Stara baśń« i »Kunigas« Kraszewskiego, »Meir Ezofowicz« i »Dziurdziowie« Orzeszkowej, »Branki w Jasyrze« Deotymy, oraz o kilku wielkich kartonach, odtwarzających sceny pojedyncze z poematów celniejszych.

Ilustracje tego rodzaju były największem ulubieniem Andriollego, a zarazem największem jego upragnieniem; ale ponieważ siły naszych nakładców nie starczyły na wydawnictwa tak kosztowne, artysta więc, dla zużytkowania swojej energii i zasobów wielkiego talentu, musiał szukać pola wśród obcych. Jakoż rad przyjął propozycję wydawcy paryskiego, Didota, i do wspaniałej edycji jego dzieł Szekspira uilustrował »Julie i Romea« i »Kupca Weneckiego«, oraz wziął udział w ilustracji »Joanny d'Arc«, i »Chevalerie«; dla wydawcy zaś londyńskiego Calpina, prócz rysunków do »Historii wieków średnich«, dostarczył nowej seryi obrazów do romansów Coopera. Po za tem ulubioną myślą Andriollego było wydawnictwo widoków z malowniczych okolic, i w celu tym przedsięwzięc każdego lata artystyczne konne wycieczki, wielkie skarby w swojej tece zgromadził: z Powiśla, z Sandomierszczyzny, z okolic Kazimierza, Ojcowa, z Dąbrowy górniczej i z Pomorza, z których zaledwie mała część weszła do pism ilustrowanych. Niektóre z nich (w *Kłosach* i *Biesiadzie literackiej*) ukazały się razem z tekstem ilustratora, odznaczającym się piórem tak oryginalnem i jędrnem, jak i jego ołówkiem. W roku bieżącym ostatnią wycieczkę artystyczną odbył aż nad morze Adryatyckie, gdzie również zebrał wiele malowniczych widoków, wrażenia zaś i przygody swoje opisał: w *Kurjerze Warszawskim* i *Słowie*, oraz *Tygodniku ilustrowanym*, w którym też i ostatnie jego rysunki się ukazały.

Dla uzupełnienia obrazu działalności artystycznej

Andriollego powinniśmy jeszcze zaznaczyć, że ostatnimi czasy wrócił do zarzuconego oddawna pędzla i malował obrazy religijne, jak np. do katedry kowieńskiej, do kościoła katolickiego w Nowogrodzie i innych. Dodajmy w końcu, że Andriolli, przy całym nastroju poetyczno-artystycznym swego umysłu, był człowiekiem bardzo praktycznym i w prozie życia umiał sobie tak dobrze radzić, jak i w dziedzinie sztuki. W parę lat po osiedleniu się w Warszawie, nabył już niewielką posiadłość Stasinów, pod Nowomińskiem, w której własnem staraniem i własnymi prawie rękoma urządził sobie bardzo wdzięczną siedzibę; sprzedał ją wszakże po jakimś czasie, a natomiast kupił kilka włók lasu sosnowego na piaskach, na brzegu Świdra pod Otwockiem, i w głuchem tem pustkowiu, radząc sam sobie, niby kolonista amerykański, sam będąc budowniczym, a w potrzebie i cieślą i murarzem, sklecił naprędce jeden domek, potem drugi i trzeci, a wreszcie doszedł do czternastu, przyczem brzeg rwącej rzeki, na przestrzeni półtorej wiorsty ustalił, zasadziwszy go wierzbą koszykarską; założył plantację drzew morwowych; przy domku, przeznaczonym dla siebie, urządził ogród owocowy i ozdobny, a powoli i inny także kwiatami i krzewami upiększył. Czynił to z myślą odnajmowania ich na letnie mieszkania dla Warszawian. Okazało się, że była to myśl bardzo szczęśliwa: domki Andriollego nigdy pustką nie stały; a co ważniejsza, zachęciły i innych do wznoszenia letnich willi w tej miejscowości, i jeśli dziś dawniejsza pustka otwocka wygląda jak prawdziwa oaza, to całą ztąd zasługę przyznać trzeba Andriollemu.

Było to dla niego wielką pociechą i nagrodą za poniesione trudy; marzył też słodko, że w tem Tusculum swoim znajdzie po nich błogie wytchnienie i byt niezależny na stare lata. Niestety! inne były wyroki Boskie; nie sądzono mu było zaznać spokoju doczesnego, niechże dusza jego ma spokój wieczny!¹⁾

¹⁾ W liście pisanym do nas przez jedną z najwybitniejszych literatek polskich, czytamy co następuje: »Zapewne już doszła pana wiadomość o śmierci Andriollego. Co to za bujna była natura! Miałam dla niego wielką przyjaźń i wielką cześć. Była to dusza jedyna w swoim rodzaju. To zmieszanie krwi włoskiej z litewską wydało wyjątkowego człowieka, łączącego przymioty dwóch ras. Uważano go często za blagiera, bo go nie rozumiano. Dopowiadał on tylko swą fantazją czego uczynić nie miał czasu lub sposobności, ale uczynił tak wiele, że tego stu zwykłych blagierów nie wymyśliłoby nawet. Jakież też koleje przechodził! Nie mogę bez łez o nim myśleć. A tak kochał życie — i umarł w pełni jeszcze sił. Co za olbrzymie projekty snuł się w tym niezmordowanym mózgu. Przyznaję, iż mało śmierci zrobiło na mnie tak przygnębiające wrażenie. Cierpiał tak strasznie. Był skazany od kilku miesięcy — śmierć ta więc była spodziewaną. Znał swój stan i pasował się długie dni i noce z widmem nienawistnej śmierci. Leżało to poniekąd w jego przeznaczeniu, bo już raz przechodził straszniejsze męczarnie, oczekując spełnienia wyroku (w czasie powstania), który spełnionym nie został.« (Przyp. Redak.).

ADAM PŁUG.

K R O N I K A.

* Z powodu obfitości bieżącego materiału zmuszeni jesteśmy dalszy ciąg pięknej pracy prof. Waleryana Hecka p. t. »Krzysztof Kolumb w świetle najnowszych badań« odłożyć do następnego numeru *Świata*. Przyozdobia ją ilustracje.

* Jan Galasiewicz — słusznie ceniony autor teatralnych sztuk ludowych — po dłuższym pobycie naprzód u mechanika, który wykonał dlań sztuczną nogę, następnie w Werishofen (w Bawarii) gdzie leczył się w zakładzie ks.

Kneippa — gościł w Krakowie w przejeździe do Warszawy. Sympatyczny pisarz i artysta, pomimo ciężkiego kalectwa, zdaje się zupełnie zdrowym.

* Tadeusz Rybkowski po długoletnim pobycie w Wiedniu przenosi się do Lwowa, gdzie otrzymał posadę profesora rysunku, zastosowanego do artystycznego przemysłu i malarstwa dekoracyjnego w wyższej szkole przemysłowej.

* Docent uniwersytetu w Bernie, Dr. Józef

Kowalski, powołany został na katedrę fizyki w uniwersytecie fryburskim.

* W Karlsbadzie pod przewodnictwem Włodzimierza Gniewosza utworzył się komitet, celem postawienia pomnika Mickiewiczowi na placu, pomiędzy źródłem Sauerbrunn a Café Schoenbrunn. Wiceprezesem komitetu jest Dr. Edmund Mochnacki, prezydent miasta Lwowa, sekretarzem Dr. Kulikowski, kasjerem właściciel domu w Karlsbadzie Władysław Kołaczkowski, oraz lekarz ordynujący Dr. Wa-

lenty Kretowicz. Zarząd miasta udzielił pozwolenia na wzniesienie monumentu.

* Towarzystwo imienia Kościuszki na walnem zebraniu, które odbyło się w d. 20 sierpnia, uchwaliło: uroczyste obchodzie w dniach 23, 24 i 25 marca stuletnią rocznicę złożenia na rynku krakowskim przez Kościuskę przysięgi, oraz wzniesie na tymże rynku głównym, od ulicy Szewskiej, pomnik dla bohatera. Na ten cel posypały się natychmiast składki. Czcigodny prezes towarzystwa, jednogłośnie na nowo obrany, p. Jan Skirliński, złożył pierwszy *tyśiąc złotych reńskich*, za nim członkowie dorzucali sute ofiary. Kwota składowa już obecnie dosięgła wcale okazałej cyfry. Inicytorem pięknego projektu był radca magistratu, p. Turnau.

* W d. 23 i 24 sierpnia obchodzono uroczyste w Krynicy stuletni jubileusz oddania do użytku publicznego zdrojowiska, zwanego »Królową mineralnych wód polskich«.

* W tych dniach odbyła się próba akustyczności widowni nowego teatru. Sala we wszystkich swych zakątkach, od góry do dołu, okazała się czułą na najdelikatniejsze *pianissimo* orkiestry wojskowej, dyrygowanej przez utalentowanego kapelmistrza Hocka, a najpotężniejsze *forte* nie budziło w jej murach echa. Licznie zebrana publiczność z prezydentem miasta Friedleinem i b. prezesem Akademii Umiejętności Meyerem na czele, winaowała architekcie teatru, Janowi Zawieskiemu, świetnego sukcesu. Jak wiadomo: zupełna akustyczność sal teatralnych jest rzeczą niezmiernie rzadką. W wspaniałej widowni Wielkiej Opery paryskiej i w ślicznym nowym *Burgu* wiedeńskim do wielu miejsc na piętrach i na parterze dźwięki dochodzą stłumione i głuche, albo nie dochodzą wcale.

* Dyrektor nowego teatru krakowskiego p. Tadeusz Pawlikowski zaangażował — o ile wiemy z pogłosek — liczne grono artystek i artystów dramatycznych w Warszawie, Lwowie, Poznaniu i Łodzi. Osoby bliższe dyrekcji wymieniają między zaangażowanymi, panów: Kotarbińskiego, Lubicza i Wojdałowicza, oraz panie: Noiretównę, Wirwiczównę i Morską. Nadto p. Tadeusz Pawlikowski miał nowy personal dopełnić kilku uczennicami i uczniami warszawskiej szkoły deklamacyi. Próby rozpoczną się w d. 15 września. Teatr ma być otwarty uroczyste w d. 1 października prologiem wierszowanym p. Lucyana Rydla. Bilety na pierwsze przedstawienie zamawiają już liczni lubownicy sceny.

* Teatr lwowski nabył do przedstawienia w sezonie jesiennym: »Nauczycielkę« Władysława hr. Koziembrodzkiego, »Flirt« Michała Bałuckiego i »Uroczę oczy« Zygmunta Sarneckiego. Dyrekcja wymienionej sceny postanowiła do 1-go marca p. r. najgorętsze starania poświęcić dramatom i komedii, a operę sprowadzić dopiero na sezon wiosenny. Postanowieniu temu przyklasnąć należy, gdyż korzyść ztąd odniesie tak literatura sceniczna polska, jak i rodzima sztuka dramatyczna — niestety! dotąd po macoszemu traktowane przez publiczność lwowską, oraz przez tych, którzy z natury rzeczy serdecznie opiekować się nimi powinni. Opera przed wystawą i w czasie wystawy przyczyni się do uświetnienia wobec cudzoziemców naszego krajowego popisu przemysłu, rolnictwa i sztuki plastycznej — a dramat i komedia tymczasem, nie przygniecionie jej groźną i kosztowną konkurencją, będą mogły w miesiącach: listopadzie, grudniu, styczniu i lutym odetchnąć nieco swobodniej i zdobyć dla siebie powodzenie słusznie im należne. Nie wątpimy, że Wydział krajowy, zawsze życzliwy dla spraw cywilizacyjnych i narodowych, plan dyrekcji teatru lwowskiego zatwierdzi powagą swego wysokiego uznania

i nie odmówi jej zwykłej subwencji na operę, która w r. 1894 — a nawet zawsze — właściwszą i odpowiedniejszą jest dla miasta Lwowa w sezonie wiosennym niż w zimowym. Dowiadujemy się, że naczelne kierownictwo teatru hr. Skarbka, zaangażowało kilku najwybitniejszych artystów dramatycznych dawnego teatru krakowskiego (Panie: Siennicka i Siemaszkowa, tudzież panowie: Ruszkowski, Siemaszko i Werner). Wraz ze znakomitemi siłami, jakie scena lwowska już posiadała, stworzą oni *ensemble* pierwszorzędny, jeśli dyrekcja — jak widzimy niezmiernie czynna i z zapałem pracująca w celu podniesienia poziomu artystycznego na deskach świątyni Melpomeny we Lwowie — złoży leżce reżyserskiej w uzdolnione i pracowite dłonie.

* Otrzymujemy następujące sprawozdanie: »Wydział lwowskiego towarzystwa śpiewackiego »Echo« poczytuje sobie za obowiązek podać do publicznej wiadomości sprawozdanie z wycieczki artystycznej odbytej w czasie od 2 do 14 sierpnia b. r. W 13 dniach dano 11 koncertów a to: w Truskawcu, Rymanowie, Iwoniczu, Żegiestowie, Krynicy, Szczawnicy, Nowym Targu, Zakopanem, Rabce, Nowym Sączu i Stryju. Dochód brutto z produkcji wynosi razem 2.157 złr. 44 ct., wydatki zaś jako to kosztu korespondencji, urządzenia koncertów, podróży, tudzież utrzymania 1.274 złr. 54 ct. pozostaje zatem czysty dochód w kwocie 882 złr. 90 ct. Stosownie do umowy zawartej przed wycieczką z Zarządem »Kola mężczyzn we Lwowie«, przesłano połowę czystego dochodu w kwocie 441 złr. 45 ct. Towarzystwu »Szkół ludowej« na ręce Wielmożnego Romanowicza, członka Wydziału Krajowego, — reszta zaś przypadła kasie »Echa«. »Echo«, zawsze bezinteresowne, tym razem i o sobie pamiętać musiało, zwłaszcza, że po 7 latach istnienia nawet fortepianu własnego nie posiada. Wydział »Echa« uważa za swój obowiązek złożyć przy tej sposobności wszystkim osobom, które w jakikolwiek sposób do osiągnięcia tak okazałego rezultatu się przyczyniły, niemniej tym, które z prawdziwie staropolską gościnnością Echistów w czasie wycieczki podejmowały, jak najserdeczniejsze podziękowanie. We Lwowie dnia 21 sierpnia 1893. Za Wydział »Echa«: *Marya Julian Fontana*, prezes; *Feliks Joszt*, sekretarz.

* Oto co piszą za granicą o artystce naszej pannie Oldze Boznańskiej. Cytujemy naprzód ustęp z recenzji p. Georg Boscha, pomieszczony w berlińskim dzienniku *Tägliche Rundschau* z dnia 8 Lipca b. r.: »Prawdziwą perłą salonu jest znakomite dzieło, które nas doszło z obczyzny. Jestto portret damy w czarnej sukni, przez pannę Olę Boznańską z Krakowa. Wprawdzie wyraz twarzy przedstawionego modelu jest mocno cierpiący i chorobliwy, ale smutek tak dobrze został uchwycony, że pomimo, nieodznaczającego się pięknnością oryginału, przykuwa wzrok nasz do obrazu, bo widzi się w nim dzieło, namalowane ręką, utalentowanej artystki z Bożej łaski, która pędzłem swym sięgnęła nie tylko do serca, ale i do głębi duszy. A jak ładnie i z jaką powagą ugrupowana jest całość; szczególnie ręce, które mimowolnie bawią się kilkoma różami. Główne dzieło tejże Olgi Boznańskiej, wystawione jest w sąsiedniej komnacie. Przedstawia ono w naturalnej wielkości ogrodniczkę, pomiędzy klombami kwiatów wazonowych. Uwidacznia się tu taka siła pędzla i taka świeżość, że wierzyć się nie chce, aby utwór ten był dziełem ręki młodej kobiety.« — Następnie *Adels- und Salonblatt*, tygodnik berliński, tak się wyraża: »Polacy posiadają swój osobny oddział prac świetnych. Stali się oni międzynarodowymi, a ich utalentowani artyści, kształcą się wszędzie, gdzie tylko czegoś na-

uczyć się mogą. Przebywają chętnie dla sztuki po za granicami kraju, wprost przeciwnie jak ich sąsiedzi Rosjanie, którzy wolą nie opuszczać ojczyzny, czerpiąc do kreacji swych tematy z własnych siedzib, lub z historii własnego kraju. Przed niedawnym czasem, szczególniejszym trafem, na poprzednich wystawach, tak w rosyjskim jako też i w polskim dziale figurowały dwie damy, wyróżniające się znakomitemi pracami, osobliwie w rodzaju portretowym. Były to panie: Marya Baszkirtscheff, Rosyanka i Polka, Anna Bilińska. Talent obu tych artystek uprawniał do wielkich nadziei, lecz śmierć nieubłagana, zabrała je z tego świata. Prawdziwie godną ich następczynią stała się Olga Boznańska, która tegorocznej zimy swojemi znakomitemi portretami i studiami dała się nam poznać, a obecnie na Wielką Międzynarodową Wystawę nadesłała dużych rozmiarów obraz »W oranżeryi«, który odznacza się dobrą kompozycją i wykwinnym tonem w kolorze«. Artykuł ten podpisał znany krytyk *Just*.

BIBLIOGRAFIA.

»Facet«. Wesoly kalendarzyk na 1894 rok. Wydał *Ner. Buch*. — Wydawnictwa rok siódmy. — Warszawa. Nakładem redakcyi *Muchy*. 1893.

Pierwszy to kalendarz na rok przyszły, który nas doszedł. Jak i w latach poprzednich posiada: ładną okładkę kolorową, mnóstwo wesołych rysunków i weselejszych jeszcze wierszyków, humorystycznej prozy, żartobliwych dyalogów i dowcipnych aforyzmów. Wszystko razem nosi na sobie cechę na wskroś warszawską, lekką i ponętną. Zdaje się w każdym słowie tętni: »choć bieda, to hoc!«

»*Janko muzykant*«. Razkaz *Henryka Siemkiewicza*. — Perowód z polskoho *W. M. Ławrowa*. — Izdanie redakcyi żurnala *Ruskaja Mysl*. — Moskwa. 1893.

Tłómaczenie to nazwać można śmiało bardzo ładnem, artystycznym i starannem. Książeczka w małej ósemce, liczy piętnaście stronnic ścisłego druku.

NEKROLOGIA.

* W Paryżu zmarł *Dr. J. M. Charcot*, europejskiej sławy lekarz i uczony. Był naczelnym kierownikiem szpitala Salpêtrière. Wydał mnóstwo dzieł o hipnotyzmie pierwszorzędного znaczenia. Nauka współczesna traci w nim jednego z najgenialniejszych swych reprezentantów.

* W Magdeburgu zmarł *Dr. Albert Schultz*. Zajmował się gorliwie językiem polskim i naszą literaturą. W 1842 wydał dzieło p. t. »*Gros Polens Nationalsagen, Märchen und Legenden*«, następnie w kilka lat potem »*Die polnische Königssage*«. Podpisywał się pseudonimem *San Marie*.

* W Londynie zmarł *Dr. Izrael Michał Rabinowicz*, jeden z wybitnych badaczy Talmodu, filolog i pedagog. Urodził się w 1808 r. w jednym z miasteczek gubernii grodzieńskiej. Ukończył wydział filozoficzny na uniwersytecie Wroclawskim ze stopniem doktora, następnie doktoryzował się na wydziale lekarskim w Paryżu. Pomiędzy licznymi jego pracami, ogłoszonymi po francusku, znajduje się też gramatyka języka polskiego.

* W Krakowie w d. 21 sierpnia zmarł *Isak Mendel Himmelblau* znany w mieście naszym księgarz-wydawca. Działalność jego edytorska przed kilkunastu laty rozciągała szerokie kręgi. Wydawał podręczniki szkolne, biblioteczkę dla dzieci, utwory poetów i historyków. Następnie ciężka choroba osłabiła jego czynność. W ostatnich czasach rzadko kiedy ukazywały się książki wydane jego nakładem.